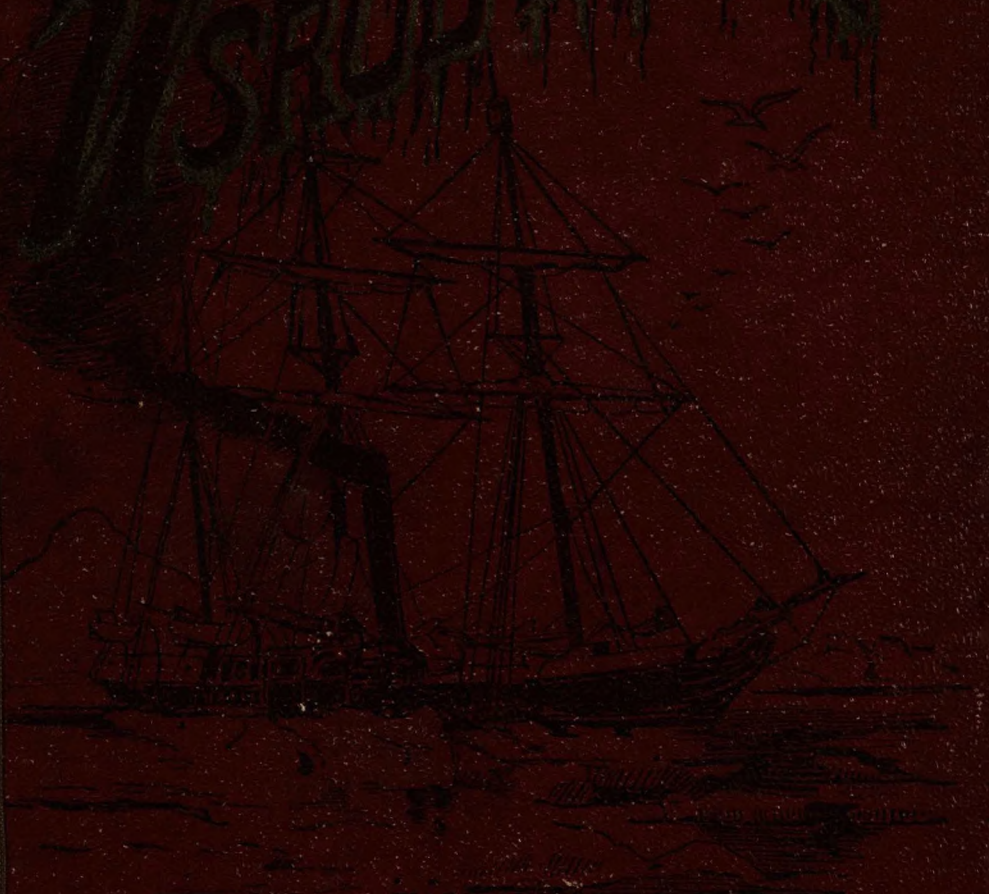


WACŁAW SIEROSZEWSKI

36 880

(Sierko)

WISROD LODOW



WARSZAWA

NAKLADEM WYDAWNICTWA RZĄDOWEGO I LISOWSKIEGO

ul. MARSZAŁKOWSKA 30

BIURO I SKŁADNICA WARSZAWA 10

1893

Leopold W. Schleich. 24. XII. 1897. 120/5

nr. 17

J. Okoniewska

Wacław Sieroszewski.

(Sirka)

WŚRÓD ŁODÓW

(Z ILLUSTRACYAMI).



WARSZAWA.

Nakładem księgarni A. Rządewskiej i J. Lisowskiej

Marszałkowska 99.

Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

1898.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5167093

opisy podr.
Arkielch

not.

(Faint mirrored text, likely bleed-through from the reverse side)

(Large faint mirrored text, likely bleed-through from the reverse side)

Дозволено Цензурою
Варшава, 30 Сентября 1897 года.

(Faint mirrored text, likely bleed-through from the reverse side)

(Faint mirrored text, likely bleed-through from the reverse side)

MEMU CHRZEŚNIAKOWI

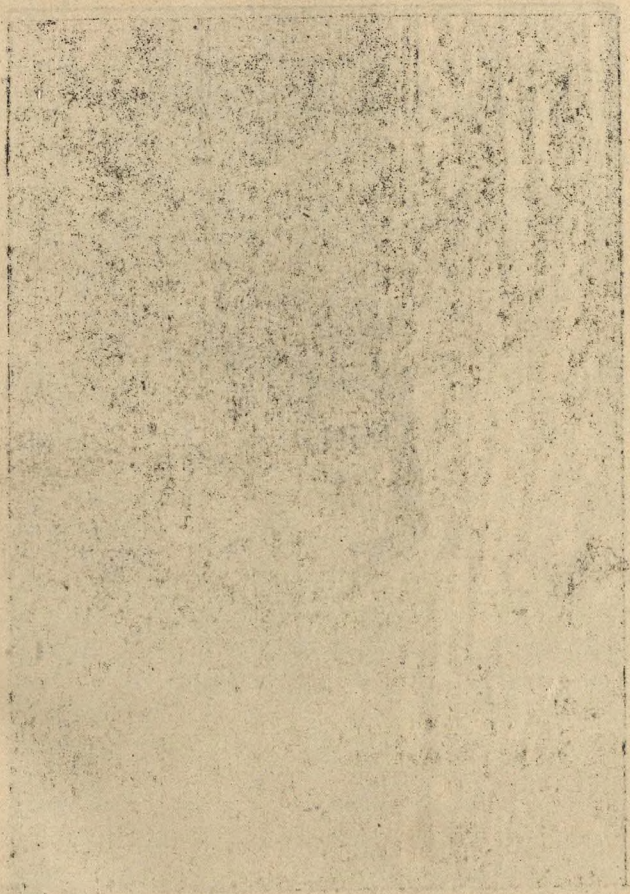
Wacławowi Górskiemu

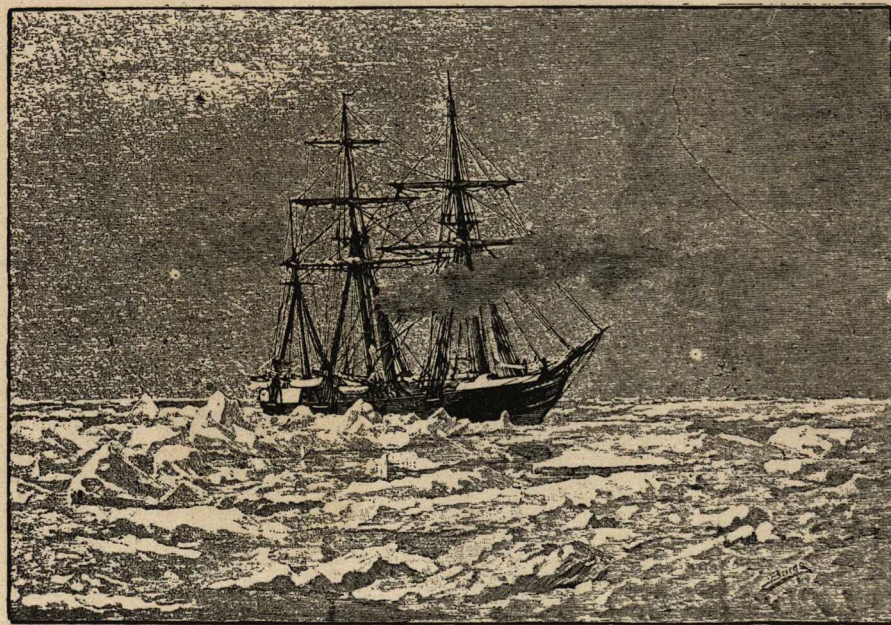
*poświęcam to opowiadanie o losach ludzi śmia-
łych, mężnie spełniających swój obowiązek.*



36.880

NH-66968 N-222003822531/TMK
PAN alch. h. 285/67







Amerykańskie „Towarzystwo mórz Północnych“ postanowiło wysłać okręt do jednego z biegunów. Wybrano biegun północny, a z okrętów „Nadzieję“, najlepszy parowiec Towarzystwa.

W końcu czerwca statek wyruszył z San Francisko; po upływie dwóch tygodni przebył cieśninę Behringa i wpłynął na szerokie przestworza oceanu, gdzie w dali ukazało się przed nim wkrótce perłowe widmo pierwszych lodów. Słońce oświecało je właśnie, a one pływały w jego promieniach przejrzyste, powiewne niby odłamki srebrnych obłoków, zwracając ku nie-

mu cyple swe i krawędzie, zapalając się szybko gasnącemi blaskami.

Załoga Nadziei zgromadzona na pokładzie statku, w milczeniu przypatrywała się temu pięknemu i groźnemu zjawisku. Statek ich, pędzący całą siłą pary wśród jasnej nieskończonej przestrzeni wód, podobny był do małego chrapaszcza. lecącego ku swej zgubie. Zostawiał za sobą przez chwilę tylko widzialny obłoczek dymu i brudną pieniającą się wody.

Gdy wpadli nareszcie między lody, przybladł nad nimi lazur nieba, a widnokrąg przyćmiła mgła lekka.

Załoga dobrze była usposobiona i pewna siebie, gdyż Towarzystwo nie szczędziło wydatków na zaopatrzenie okrętu i przeznaczyło podwójny żołd dla wszystkich.

Nad archipelagiem lodów unosiła się mgła; a one kołysały się z boku na bok, niby gromada białych, z łapy na łapę przestępujących niedźwiedzi, i chrobotały, uderzając o siebie. Ten chrzęst, ten pomruk złowróżbny, rosł, wzmagał się, potężniał, w miarę jak zwężały się przesmyki wolnej wody; aż przeszedł w nieustający huk, który przy najmniejszym wietrze zmieniał się w ryk straszny. Towarzyszący mu plusk fal ciężkich i przyduszonych, przypominał kłapanie kłów rozszalałego zwierza.

Przejścia wśród lodów stały się tak wąskie i tak często zmieniały kształt, że statek lawirując wśród nich, kreślił drogę, której obraz odrysowany na mapie przez starszego oficera, porucznika Will'a, przedstawiał zbiór łamańców

bardzo podobnych do pisma arabskiego. Kapitan Mersey prawie nie schodził ze swego mostku: nikt nie wiedział, kiedy on spał. Czas jakiś statek posuwał się naprzód, krusząc mniejsze zapory, omijając większe; aż wreszcie zadał silniejszy wiatr i lody natarły mocniej. Zamykając odwrót, uwięziły okręt w niewielkim basenie utworzonym przez duże pola lodowe, bokami do siebie przyparte. Prąd pochwycił statek wraz z temi polami i poniósł go na Północ.

Pędził ku zimie, i ona spieszyła na jego spotkanie. Słońce pokazywało się tylko na krótko; panowała noc nietylko ciemna, jak długa. Zimno stawało się coraz dokuczliwsem. Wilgotne liny od masztów i rei, zamieniły się w pałki twarde i sztywne; pokład statku pokrywał się śliską skorupą lodu, którą co rano trzeba było odrywać szpadlami. Majtkom kazano włożyć ciepłą odzież. Ze wszech stron wiały dokuczliwe wiatry. Morze kołysało się niespokojnie, podnosząc w górę okręt i lody. Załoga Nadziei żyła w bezustannej trwodze o los statku. Nakoniec pękły ochronne pola lodowe, i kry z łoskotem wściekłym rzuciły się na okręt. Jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było ruchome ich zastępy. „Nadzieja“ czas jakiś szła wśród nich, krusząc lód dziobem i zatapiając pod sobą; lecz walka taka długo trwać nie mogła. Lody, jak gdyby statek dopiero teraz spostrzegły, wszystkie rzuciły się ku niemu. Kry, bryły, góry lodowe, lazły sobie na grzbiety, bijąc się i rozpychając w szalonym pędzie ku nieszczęsnemu statkowi. Gwint i maszyna dawno działać prze-

stały; statek poruszał się pod naciskiem zewnętrznej siły. To zapadał się w głąb wśród ogłuszającego grzmotu pękających lodów, które spiętrzywszy się dokoła niego, ze złowieszczym chrzęstem wysuwały naprzód swoje szczerbate, sino-białe łapy, pchały kryształowe tafle, grożąc zmiążdżeniem; to znowu wyparty na sam szczyt, stał tam chwilę, jak oblężona twierdza, dokoła której w zwartym boju uwijały się rozłukane lodowce. Wyparły go nakoniec na brzeg ogromnej kry; padł na bok, jak rzucony przez morze wieloryb. Uderzenie było tak straszne, że marynarze powyskakiwali na lód i w niemem przerażeniu patrzyli, co dalej będzie; dopiero świstawki oficerów i gniewna komenda kapitana przywołały ich na miejsca. Statek był jednak uratowany. Czas jakiś jeszcze lody doń szturmowały, nie mogły jednak zdruzgotać ani przechylić dużej kry. Od wstrząśnień wyprostował się trochę; a gdy wieczorem wiatr ucichł, wszystko w jednej chwili zastygło w takim położeniu, w jakim zastała je cisza. W mgnieniu oka gęsta smola wody, nasyconej igłami lodu, spoiła w jednolitą całość spiętrzone bryły. Martwa cisza i ciemność przesiąknięta białymi parami, zaległy nad blademi lodami z wzmarzniętym w nie skołatany okrętem.





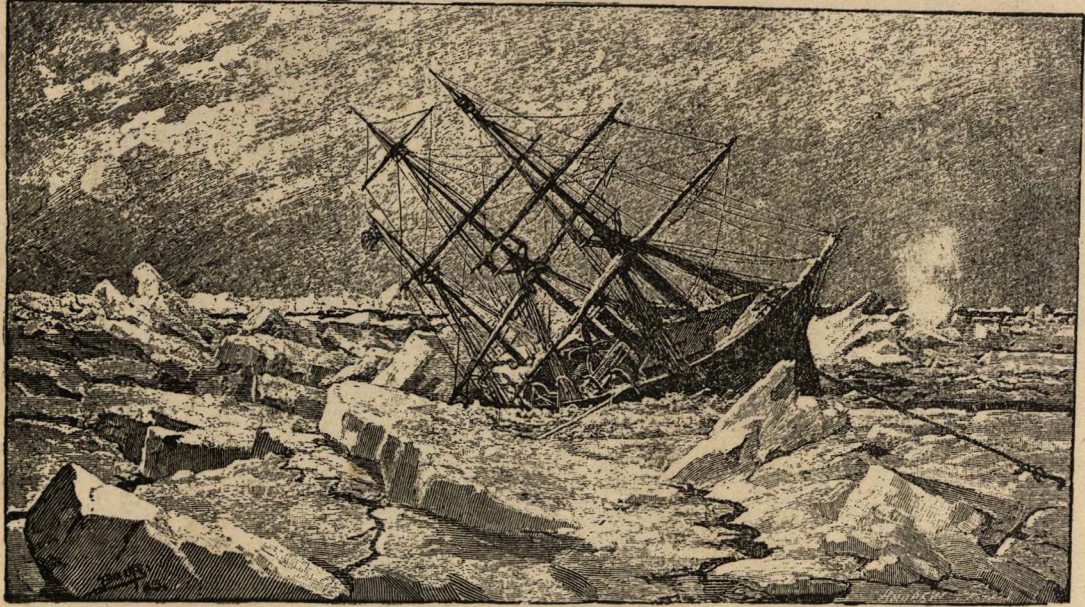
Wilgotne tumany nikły z wolna i opadały, zostawiając w powietrzu ostry lodowaty pyłek. Słońce na krótko ukazywało się nad szczybatymi lodowcami; świeciło słabo, było czerwone, i nad sobą miało widmo tężowe.

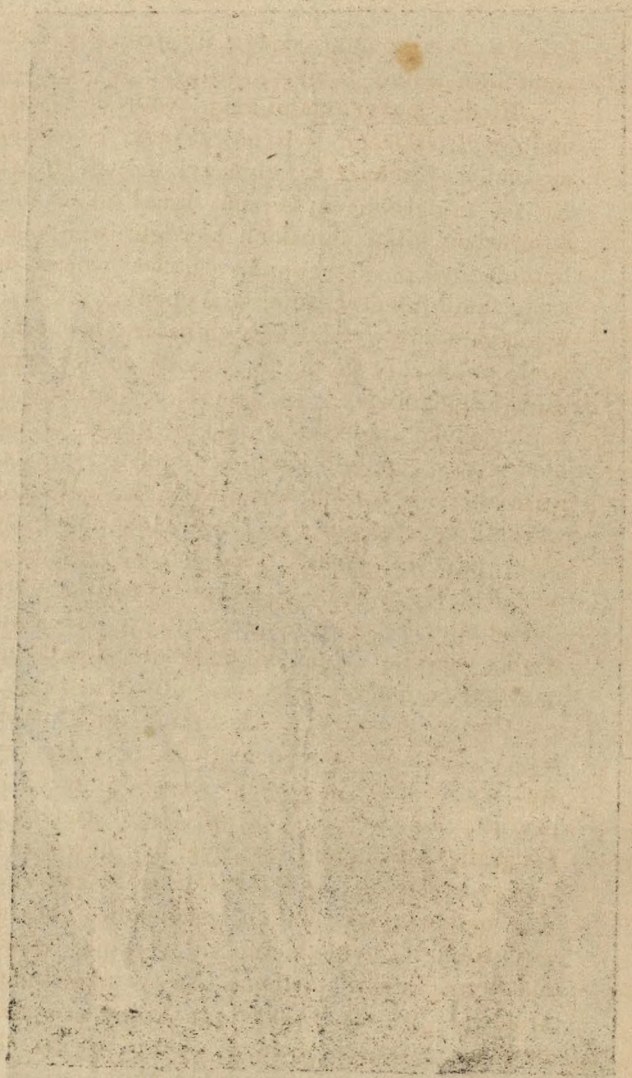
Kapitan przekonawszy się, że lody dobrze zamarły, kazał znieść na dół część zapasów i rzeczy, złożyć je i przykryć płótnem żaglowym. Na jednej z gór lodowych wzniesiono domek dla obserwacji meteorologicznych. Rozdzielono między załogę zajęcia; jednym z głównych było usunięcie mas lodu przywartych do boków okrętu. A nie było to rzeczą łatwą! Musiano je rozsadzać prochem i bawełną strzelniczą. Trzeba też było zająć się naprawą uszko-

dzonych części statku, wzmocnić osłabione wiązania, by z wiosną w dalszą puścić się drogę. Oficerowie zajęci byli robieniem obserwacji, astronomicznych i klimatycznych; mierzyli głębokość morza, określali słoność wody, jej temperaturę, badali prądy; każdy z nich miał wyznaczonych sobie do pomocy majtków, kolejno się zmieniających. Codzień mały oddział wyruszał na wyprawę między lody i zdala obchodził parowiec dokoła; a choć zabito tylko jednego białego niedźwiedzia w początkach jeszcze, potem zaś nie widziano już więcej zwierzyny, kapitan rozporządzenia nie zmieniał—gdyż wycieczki te miały ważne znaczenie, podtrzymywały bowiem ożywienie w załodze. Czuwał on pilnie nad tem, by praca, wypoczynek i rozrywka, szły po sobie w pewnym z góry nakreślonym porządku. Mieszkania na zimę nie zmieniano. Parowiec okazał się suchym i wygodnym domem. Nieprzyjemnem było tylko położenie w jakim stał, ale i do tego przyzwyczajono się wkrótce.

Słońce wcale się już nie ukazywało. Dni poznawali po gwiazdach, które, jak wskazówki zegara, biegały dokoła nieruchomo w zenicie stojącej gwiazdy polarnej. Ale zato co noc prawie płonęły zielonawe, błękitne i różowe smugi zorzy północnej. Zima podbiegunowa przykryła ich na długo ciemnym swem wiekiem. Trzeba było uzbroić się w męstwo i cierpliwość.

Co wieczór, po pracy, żeglarze zbierali się we wspólnej kajucie i obsiadłszy do koła okrągłego stół, czytali, pisali, rysowali. Co niedziela





jeden z oficerów miał odczyt, ilustrowany obrazami niknącemi.

Między marynarzami znajdowali się ludzie mało wykształceni; byli nawet tacy, co czytać nie umieli. Kucharz Li, chińczyk mówił bardzo źle po angielsku, czytać nie umiał także; znał wprawdzie kilka chińskich hieroglifów i podobno niegdyś pisał rachunki, a nawet wnosił do ksiąg rodzinnych ważniejsze wypadki, jak tego wymaga dobre wychowanie chińskie, ale obecnie znaki te okazały się nie wystarczające dla zapisania czegokolwiek. Li zabrał się gorliwie do nauki języka angielskiego, ale nie umiał dać sobie rady ze spółgłoskami, których więcej nad dwie nie mógł razem wymówić. Rodzaje rzeczowników wprawiały go też w kłopot niemały: okręt nazywał „ona“ i lód — „ona“, a nawet wielkiego Toma Smiles'a, starszego majtka, określał zaimkiem „ona“. Sprawiało to wszystkim wielką uciechę i tak się podobało, że nikt nie nazywał go inaczej, jak „ona“ lub „oneczka“.

Jurek, myśliwy z Alaski nie umiał nawet tego co Li; mówił źle po angielsku i ciągle używał wyrażenia „ja myślę;“ obaj oni uczyli się czytać i pisać w tym języku. Inni studyowali geografję, astronomję, historję; byli nawet tacy, którzy zagłębiali się w dociekania filozoficzne... Ale nadewszystko lubili poobiednie godziny, gdy wolno im było zbierać się w swojej kajucie dla wypoczynku i palenia. Na tych zebraniach królował „wesoły Dick“ tęgi, krępy marynarz, bywalec i bazarz nielada. Leżąc w hamaku, wzdychał zazwyczaj i biadał ciężko:

— Ot łajdactwo! wierutne łajdactwo!.. Zobaczcie tylko, ile tam dziś szronu po kątach naszej izby... Zimno wzmaga się, a wesołości ubywa. W powietrzu taki mróz, że oddychając zdaje ci się, iż lód łykasz... A jednak na warcie stać trzeba!.. Onegdaj na polowaniu tyle szronu zebrało mi się na wąsach, brodzie, brwiach i rzęsach, że z bólu chciałem krzyknąć gwałtu... a gdym zaczął zbierać te sopolki, to poparzyłem sobie palce niby gorącymi węglami... Nie wiem, czy teraz będę mógł grać na fortepianie tak dobrze jak dawniej; nie więc nie zyskam w tej podróży... A jeszcze Bóg jeden wie tylko, jak się to wszystko skończy!.. — dorzucił smętnie.

— Dałbyś spokój!.. Powiedz nam lepiej co wesołego...

— Nie mam ochoty... Zresztą i smucić się nie warto!.. Chyba gdyby Tom zaginał.

— Ja myślę—zaczął Jurek.

— Ty nie myśl, nie myśl!.. przerwali mu ze śmiechem inni.

— Gdzież Tom? — dopytywał się Dick.— Nie można opowiadać bez niego.

— Jestem tu... na swoim miejscu!.. odezwał się gruby głos z kąta.

Tom stał w głębi, oparty o drzwi; czapkę futrzaną zsunął na tył głowy, ręce włożył w kieszenie i pykał sobie spokojnie, puszczając dymek z dużej piankowej fajki, wyrzeźbionej w kształcie głowy tureckiej.

— Ot straszdyło! — wołał z zachwytem Dick. — Gdyby ongi moja mama spotkała była takiego w ciemności, na pewno miałbym dziś

konwulsye... Która też to głowa więcej warta? czy ta, z której się tytuń kurzy, czy ta w której się kryje nasza mądrość okrętowa?..

Tom milczał i uśmiechał się.

— Cóż ci opowiedzieć?.. Nie gniewaj się kochanie!..

— Opowiedz choć raz... prawdę!

— O! tego towaru mało w moim sklepiku!.. I drogi... chyba, że dasz za niego twoją fajeczkę.

— Ja myślę, że fajeczka—wtrącił Jurek.

— Cóż znowu! — przerwali mu inni. — Fajeczka bez zarzutu!

Istotnie, można jej było pozazdrościć Tomowi. Przepalona nieco, miała kolor cynamonowy, właściwy rasie tureckiej — a twarz wyszła z rąk rzeźbiarza jak żywa.

— Kosztuje 50 dolarów—objasniał Tom.

Ta fajka była jedyną dumą tego majtka, jedyną własnością, którą się szczycił.

— A więc chce wam się prawdy tym razem!.. — rzekł Dick, wyciągając się w hamaku. Dobrze, opowiem wam, jak zabili mnie rozbójnicy w Albanii..

— Jużśmy słyszeli...

— Tak, tak... i ona to słyszała... i jeszcze gotowa... Ona zabita żywa...—przeciągał Li, kiwając głową...

— Nie, nie!.. innym razem! Dziś prosimy o coś nowego; coś takiego, gdzie dużo ciepła, słońca!.. coś z Południa!..

— Dobrze. Powiem wam więc o tygrysie. Choć to nie zupełnie z Południa, ale zato poczę-

ści prawda... Albo może opowiedzieć wam, jak zostałem królem pod Równikiem?..

Wszczął się hałas; głosy były podzielone.

— Opowiadaj jedno i drugie — godził zwąsznionych Tom.

— Zgoda przyjacielu!.. Ale lękam się, że żadnego nie skończę, gdyż czas upływa...

— Cicho! Słuchajcie!.. Niech opowiada, co chce!

— Było to w roku tysiąc... setnym... zapomniałem którym... w kraju usuryjskim. Przybyłem tam z transportem dynamitu dla budującej się drogi syberyjskiej. Mieli w tem miejscu czy tunel robić, czy skały rozsadzać, dość, że dynamitu było dużo. Ponieważ urzędnik z odbiorem się nie spieszył i nie przyjeżdżał, więc musieliśmy urządzić składy i pilnować. Skład znajdował się za wioską, wśród pola, w bliskości rzeki, po której przypłynęliśmy z transportem; dokoła był las czarny, a pole i wioska wyglądały wśród niego jak mała wysepka. Morze, rzecz w świecie najmilsza, ale i ład stały przyda się czasem, więc często zaglądaliśmy do wioski, szczególnie ja... Mieszkali tam ludzie biedni, ale gościnni. Mieli oni jedną wielką wadę, że lubili odkładać wszystko do jutra. Nawet i wtedy nie spieszyli się, gdy tygrys ukazał się w sąsiedztwie i zaczął dusić im krowy. Co noc rozlegały się ryki bydła, a chłopci siedzieli w domu i, skrobiąc się w głowę, próbowali odgadnąć czyją krowę zjadł tygrys. Przyszło im nareszcie do głowy zamykać bydło na noc w chlewach.

Nic nie pomogło. Tygrys zaczął nawiedzać wieś, łapać psy i łamać zagrody.

— Na co wy czekacie? Zbierzcie się i zabijcie szkodnika! — radziłem przyjacielowi memu Grzegorzowi, u którego chętnie przesiadywałem, gdyż umiał trochę po angielsku. Nauczył się w niewoli u Anglików; bił się pod Sewastopolem i wpadł w ich ręce. Niewiele umiał, ale pomagaliśmy sobie pokazywaniem na migi i szło nam tak dobrze, że stary służył nam zawsze za tłumacza w stosunkach z innymi mieszkańcami. Nawet córka jego Dosia poduczyła się trochę.

— Takie to u nas, widzisz, zwyczaje! — mówił stary. Każdy z nas myśli, że dziś kolej na krowę sąsiada, a jutro tygrys sobie pójdzie. Życia daremnie narażać nikt nie ma ochoty. Ale poczekaj, niech tylko zwierz zje człowieka, to naczelnik powiatu każe zabić tygrysa, a wówczas my go zaraz zabijemy...

Śmiałem się z jego gadania... Aż tu razu jednego slysze szmer jakiś za oknem... Patrzę..., za szybą stoi przegowata morda z konopiastemi wąsami, a okrągłe ślepie świecą się jak ogniki. Gospodarz siedział tyłem zwrócony do okna i nic nie widział, ale Dosia odskoczyła na środek izby i niema z przerażenia, stała blada jak chusta. Sięgnąłem po rewolwer, który położyłem na ławie, ale w tej chwili zwierz znikł.

— Hm! Tygrys! Patrzcie go, jaki śmiały!..

— Co! — krzyknął stary i skoczył po strzelbę; ale Dosia rzuciła się na kolana i, wyciągając ręce, zaczęła coś mówić prawie szeptem.

— Co ona gada? — pytam starego.

— Ot, głupia!.. Prosi, żeby nie chodzić. Mówi, że to na pewno śmierć przyszła po nią, jak po Antosię w przeszłym roku.

Zacząłem ich przekonywać, że to tygrys, że takich nie mało widziałem na wyspie Jawie. Ale gdzie tam, nie chcieli wierzyć, nie chcieli słuchać, i zatykali mi usta, kiedym zaczął opowiadać jak na tego zwierza polują.

— Milcz, jeszcze usłyszysz i rzuci się na ciebie, gdy będziesz wracał do obozu.

Nie chcieli mię puścić, ałem się uparł, gdyż o północy miałem iść na wartę; wziąłem tylko latarnię ze sobą. Z latarnią można iść bezpiecznie nawet między tygrysy. Przychodzę do obozu, a tam siedzą u ogniska i o niczem nie wiedzą, szyldwach chodzi w ciemności i nawołuje. Poszedłem zdać raport naczelnikowi.

— Eh — mówi — może nie przyjdzie; dotychczas nie bywał w tej stronie.

— Ba!.. bo miał krowy.

— Więc dobrze. Załóż bagnet na karabin, ale nie strzelaj, chyba w ostateczności. Pamiętaj, jaki dyabeł śpi w tej kupie. Od byle wstrząśnienia, wszyscy możemy wylecieć w powietrze!

Było mi jakos z początku nieswojo. Stałem, słuchając czy gdzie się co nie rusza. Dookoła milczały czarne lasy, w dali bielila się wioska. Ognie wszędzie pogasły. Coraz bardziej było mi nieswojo. Chodziłem tam i napowrót, aż opadły mi złe myśli, ogarnął strach. Każdy cień wydawał mi się podejrzanym. Nie mogłem wytrzymać i wlałem na bezułkę, ażeby rozej-

rzeć się lepiej, Serce biło mi jak młotem, I wydało mi się, że coś wysunęło się z pod lasu i znikło w trawie. Wytrzeszczam oczy, nadstawiam uszu—nie nie widzę. Nagle... tuż pod nogami spostrzegam dwa ślepie gorejące, niby dwie latarnie... Podnoszę broń do ramienia i—czekam; a on grzbiet wygiął, łapy pod siebie podebrał, ogonem bije w ziemię—gotuje się do skoku!.. W tem, jak gdyby mnie kto obuchem palnął w głowę, przypominam sobie, co mam pod nogami. Choćbym nawet nie strzelał, niechby tylko skoczył między beczki, Bóg wie, coby mógł narobić!.. Jednej chwili, sam nie wiem jak, znalazłem się na ziemi, o kilka kroków od tygrysa. Bagnet postawiłem przed sobą. Zwierz podniósł się, mrużąc, i przysiadł; Ibem wstrząsnął, łapą powietrze rozgarnął i w bok skoczył—chciał mię zająć z tyłu. Ale ja szedłem z nim, bagnet wciąż przed sobą trzymając. W blasku księżyca stal ostrza świeciła się jak płomień. Może się zląkł, może to wziął za ogień, dość że cofał się, a ja szedłem na niego... I tak długa upłynęła chwila. On oczów ze mnie nie spuszczał, a mnie mgła jakaś zaczęła otaczać i zdawało mi się w końcu, że to nie zwierz, a jakieś kule ognistozielone toczą się przedemną. Bałem się krzyknąć, a świstawki do ust podnieść nie mogłem, bo przeszkadzał mi karabin. Nakoniec światło zabłysło w obozie, ludzie się poruszyli; tygrys odwrócił się i odszedł, nie spiesząc.

Zacząłem krzyczeć: Tygrys!.. tygrys!.. Przybiegli z latarniami i resztę nocy chodziliśmy we dwóch. Nazajutrz nasz naczelnik zgromadził

wszystkich majtków i ludzi miejscowych i urządził obławę na tygrysa. Wytropiliśmy go i zabili; a ci którym krowy pozjadał, takimi w lesie okazali się śmiałkami, że myślałem iż go żywego brać będą... Skórę zabrał naczelnik, a nas obdarzył suto. Gdym tego wieczora położył u Grzegorza garść złota na stole, Dosia oświadczyła mi zaraz, że pójdzie za mnie zamąż.

Bum!.. bum!.. bum!.. — zabrzmiał dzwon okrętowy.

— Zmiana trzecia!..

— I cóż? i cóż? co się stało?.. dopytywali się wszyscy, pomagając Dickowi wdziać ubranie.

— Co się stać miało?.. Byłbym się ożenił i został na zawsze w Usuryjskim kraju, ale przyjechał urzędnik, odebrał transport, więc kazano nam wracać do Frisko ¹⁾.



¹⁾ San Francisco.



Choć wszystko wydawało się nieporuszo-
nem, jednakże obserwując położenie gwiazd, ła-
two można było zauważyć powolne, lecz stałe
posuwanie się na Północ. Widocznie szeroki
prąd morski unosił ku biegunowi całą skorupę
lodu z wrosniętym w nią okrętem. Pozostało
już tylko pięć stopni. Kapitan postanowił prze-
być resztę na łyżwach. Według jego dowodze-
nia, prąd zataczał półkole, które tu dosięgało
największego wygięcia. Dalej mogło nastąpić
już cofanie. Kapitanowi miało towarzyszyć czte-
rech majtków, a w ich liczbie Dick. Przygoto-
wania zainteresowały wszystkich; chwili odjaz-
du oczekiwano w wielkiem podnieceniu.

Gdy w wilię dnia tego majtkowie zebrali

się w swojej kajucie, wszyscy tłumnie otoczyli Dicka.

— Możebyś wziął mój kaftan? — pytał jeden—grubszy a więc cieplejszy jest od twego.

— Mister Dick, ja myślę że mój nóż lepszy...

— O Dicku, któż nam tu będzie opowiadał o Południu, o słońcu, o wesołym życiu?!...

— Mister Dick musi gadać, jak był król... gdy ona przypadnie, nic wiedzieć nie będzie... — dowodził Li.

— Racya!.. — zgodził się Dick. — Dlaczego mielibyście stracić z mojej przyczyny!.. Opowiem wam więc dziś, na ostatku ładną historyjkę... Będzie tu dużo słońca, a w dodatku... wszystko prawda!.. Czy zgoda!..

— O tak!.. Byłeś Dicku zawsze dobrym towarzyszem!..

— Cicho!.. Słuchajcie!..

— A więc, panowie, jesteśmy w Środkowej Afryce... ja i Tom, rozumie się...

Wszyscy spojrzeli na olbrzyma, który stał na swoim miejscu z fajeczką w zębach.

— I nic nie mamy prócz mokrej odzieży i noży za pasem, tylko co bowiem rozbiliśmy się o rafa koralowe...

— Brawo!.. Rozbili okręt w Afryce Środkowej... — krzyknęli słuchacze.

— Cicho!.. nie przeszkadzajcie!..

... Tom, naturalnie, zachował swoją fajeczkę, której rozumie się nie wypuszcza z zębów, a ja, ponieważ nie mam fajeczki, gapię się wciąż z otwartymi ustami. Idziemy doliną piaszczy-



stą, żółtą jak kanarek, a błyszczącą od słońca, jak miednica. Po bokach sterczą skały czerwone jak ogień; nad nami niebo jak balia wody zafarbkowanej. A taki skwar, że z naszego ubrania dymi się jak z komina parowca... Całe szczęście, że było mokre, inaczej zatliłoby się... Idziemy prędko; gorący piasek parzy nam pięty. Po drugiej stronie doliny las potężny, ciemnozielony, wabi nas. Drzewa tam wysokie jak dzwonnica, a obszerne jak kościół; masa pnączy; cienisto i chłodno; aromat taki jak w sklepie korzennym; kwiaty, owoce a wśród nich uwijają się małpy, zwierzątka, fruważą ptaki barwne jak motyle i motyle wielkie jak ptaki; wrzeszczą papugi, chichocą jakieś nieznane dziwotwory. Wszystko w porządku: jak gdybym w książce czytał! Chcieliśmy odpocząć na brzegu lasu i zjeść cokolwiek, ale ledwie wyciągnął rękę do złotego owocu, Tom odtrącił mię.

— Bój się Boga, to trucizna!—zawołał.

Chciałem tedy dla pocieszenia się powachać kwiatka.

— Nie rób tego: umrzesz!

Siadam z rozpaczy na ziemi.

— Ostrożnie! usiądź wyżej, tam może być tarantula lub skorpion.

Na drzewie tuż nad nami, zobaczyłem szkaradnego węża. Oj, lody! pocziwe lody! czemuż was tam nie było! Staliśmy na brzegu lasu pełni obawy. Co robić?..

— Cóż poczniemy, Tomie?.. Tu wcale nie ma ludzi.

— A co gorsza — odpowiada mi Tom — tu nawet niema sklepiku z tytuniem.

— Jesteś samolub!.. Wciąż tylko myślisz o swojej fajeczce.

— Bóg świadkiem, że nie. Myślę właśnie o murzynie, z którego możnaby zrobić sługę.

Miałem wtedy dowód, że Tom kocha mnie jeszcze, poszliśmy więc polować na murzynów. Zaraz moskity opadły nas z żarłocznem brzęczeniem. To była najgorsza plaga nasza, udało nam się bowiem ominąć boa, który siedział owinięty do koła gałęzi, a tygrys... jeszcze nie był wrócił z Usuryjskiego kraju. — Z trudem przełaząc przez gałęzie, zagłębialiśmy się w las. Tu panował zielonawy zmrok i niezmacona cisza. Nakoniec zmęczeni usiedliśmy na powalonym pniu. Ja wyciągnąłem się wygodnie, a Tom stosownie do swego zwyczaju, przedewszystkiem zapalił fajeczkę. Lecz nie zdążył nawet pociągnąć z niej, gdy rozległ się ogłuszający wrzask. Tom zdziwiony wyjął fajkę z ust; ja zdrętwiałem ze strachu. A tymczasem wrzask się powtórzył... I z drzew na ziemię zaczęli ludzie skakać i padać jak dojrzałe gruszki... Pochowali się w krzaki i — znowu cicho!.. Tylko w jednym miejscu szeleści... Po chwili wylazł z tamtąd na czworakach ogromny murzyn, czarny jak węgiel, zupełnie bezbronny... Zamiast odzieży miał tylko pęk piór różnobarwnych we włosach, w nosie kolczyk, a na szyi — naszyjnik z ludzkich zębów.. Był to wódz!.. Za nim sunęła na czworakach cała armia; lecz ostrożnie zatrzymała się w bliskości krzaków, a tylko wódz, wzór odwa-

gi czołgał się dalej. Nareszcie schwycił Toma za nogę i z jękiem postawił sobie na głowie. Byłem już pewien, że będziemy mieli obiad, a nawet, że moglibyśmy wziąć do niewoli tego samego wodza z całą jego armią... Schyliłem się więc, podniosłem go i potarliśmy się nosami; a że był dobrze wychowany, więc kichnął. Potem rozmówiliśmy się na migi. Powiedział, że jest królem wioski Lu-la-lu i że bardzo pragnie potrzebę nos o nos Turka z fajeczki Toma. Dałem mu do zrozumienia, że to rzecz nie zupełnie bezpieczna, że należałoby pierwiej przynieść w podarku kozę, parę kur lub kosz bananów. Przyznał słusność, wszystkiego dostarczyć obiecał, lecz obstawał przy swoim. Podprowadziłem go więc do fajki z wielce uroczystą ceremonią. Szedł śmiało, lecz zaledwie dotknął się świętego przedmiotu, wrzasnął co miał siły i złapał się za nos; wówczas wojsko, w milczeniu bacznie śledzące za wszystkim, drapnęło natychmiast w zarośla.

— Oho! chciał mię ukąsić!.. ale niema głupich...

— Dicku, przebrała ci się miarka!.. Zapominasz, że nie umiesz po murzyńsku — ostrzegaj Tom z uśmiechem.

— To tak: wtedy nie rozumiałem, alem się później wszystkiego domyślił... Następnie król palnął nam mówkę, przetańczył pobożny taniec i ruszyliśmy do wsi w otoczeniu skaczących i wyjących wojowników, uzbrojonych w łuki i dzidy, które zaraz z krzaków wywlekli.

Przy wejściu do wsi, przyjął nas wielki cza-

rownik z muzyką i bębnami; powiedział także mówkę trochę przydługą dla nas zgłodniałych i kilkakrotnie upadł przed nami na twarz. Jednakże niepodobał mi się od pierwszego razu: zanadto starannie obmacywał naszą odzież, a leżąc na ziemi, patrzył chytrze z podelba. Miał jedno tylko oko, ale takie przebiegłe!.. Zaproponowałem mu, żeby przyłożył nos do fajeczki Toma, ale nie chciał; pewnie mu powiedzieli o przygodzie króla. Trzeba było myśleć o zdobyciu jak największego uznania publiczności. W tym celu, nie zwlekając, posadziłem Toma na wielkim bębnie, pod cieniem przesłicznej palmy, nałożyłem mu fajeczkę i kazałem palić. Wszyscy w jednej chwili upadli twarzą na ziemię, a w minutę później kobiety przyniosły owoce, ptactwo i kozy ofiarne. Obejrzałem, czy były w dobrym gatunku i przyjąłem w imieniu bóstwa. — Odtąd codzien powtarzała się ta sama ceremonia. Tom siadał na bębnie i zapalał fajeczkę; kiedy nam zbrakło tytoniu, musiał palić liście. Jeśli sprawował się dobrze, nie dokuczał mi, nie sprzeczał się, nakładałem mu fajeczkę wonnemi listkami; jeśli był nieznośny, musiał palić różne obrzydliwości.

— Słuchaj Dick, za dużo sobie pozwalasz!.. oburzył się Tom.

— I nie śmiał odmówić—prawił dalej Dick, nie zwracając uwagi na protest przyjaciela — gdyż byliby nas zjedli nasi wyznawcy.. Tak, moi panowie, ze wstydem wyznać muszę, że to byli ludożercy... Pomimo to niezgorzej nam się u nich wiodło. Dali nam najlepszą we wsi cha-

łupę i co dzień składali ofiary; przynosił je nawet czarownik Tu-tu-cha-cha. Wprawdzie wszystko, co od niego pochodziło, było złe, ale udawałem że tego nie widzę. Przekonałem się wkrótce, że czyhał na naszą zgubę. Postanowiłem przeto nie spuszczać go z oka, co mi zresztą przyszło łatwo, gdyż miałem wielu przychylnych wśród tej czarnej hołoty. Od nich dowiedziałem się, że przed naszym przybyciem Tu-tu-cha-cha miał się dobrze, następnie zaczął bankrutować, gdyż nikt nie przychodził po radę do niego—nasz dym i woda zmieszana z popiołem tytuniowym zaćmiły wszystkie jego leki. Stary chodził chmurny i zły, aż mi go żal było. Chciałem więc pogodzić się z nim, przeciągnąć na naszą stronę. Ale okazało się, że był za głupi. Zamiast sprzedawać nasze lekarstwa z rabatem, zaczął je fałszować: wypędziłem go więc. Musieliśmy potem bardzo się go wystrzegać; wódz i lud byli jeszcze po naszej stronie; ale czyż tak zawsze być miało?.. Trudno było przewidzieć!.. Staaliśmy na chwiejnym gruncie miłości naszych wyznawców. Przekonałem się wkrótce, jak słuszne były moje obawy... Pewnego ranka, podczas ceremonii palenia fajki, wystąpił największy hultaj we wsi z żądaniem, aby wszyscy mogli zaciągnąć się dymem z cudownej fajeczki i tym sposobem raz na zawsze uwolnić się od trosk i konieczności pracy... Domysliłem się natychmiast że to intryga Tu-tu-cha-cha i zrozumiałem, co nam grozi... Nic nie mówiąc, wyrwałem fajkę z rąk zdumionego Toma i dmuchnąwszy w nią silnie, wyrzuciłem słup iskier

w górę. Dziecy ze strachu popadali na ziemię; następnie jedni pouciekali, drudzy zaczęli miłosiernie kichać. Stanowisko nasze było chwilowo uratowane, ale nie mniej przekonałem się że niema co zwlekać... Tu-tu-cha-cha nie mógł nie szkodzić nam, gdyż groziła mu nędza i zguba z naszej przyczyny... Postanowiłem więc gotować się po trochu do drogi: zbierać mięso i suchary, wypatrywać i wywiadywać się o wszystkim... Był jeszcze jeden bodaj najważniejszy powód pośpiechu: straciliśmy łaski u króla!.. A stało się to zupełnie niespodziewanie... Przyszedł raz na zwykłą poobiednią gawędkę z nami. Opowiadałem mu o naszym kraju, a kiedy wspomniałem, że u nas w zimie rzeki i jeziora pokrywają się grubą, twardą skorupą, tak twardą że po niej chodzić mogą nie tylko ludzie, ale nawet słonie, król zerwał się i zawołał: „Dosć tego!.. widzę teraz, że Tu-tu-cha-cha prawdę mówi!.. Kiedyś mi opowiadał że u was padają z nieba zimne białe płateczki, które pokrywają ziemię tak grubo, iż staje się cała biała, to temu wierzyłem, bo i wy jesteście biali; kiedy mówiłeś, że latacie po powietrzu w koszykach przywiązanych do pęcherza—to i temu jeszcze wierzyłem! — mogłem wierzyć, gdyż jesteście czarownikami i macie fajeczkę... Wierzyłem, w co mogłem... Niech sobie Tu-tu-cha-cha wątpi... on ma do tego prawo, gdyż pozbawiliście go dochodu... mnie co do tego!.. Ale teraz kiedy śmiesz twierdzić, że bez powodu, od zimna tylko, na wodzie robi się skorupa, po której mogą chodzić słonie, widzę już że w kłamstwie

przebierasz miarę!.. Słychane rzeczy!.. skóra na wodzie!.. A wiatr?.. cóż wiatr?.. Jakże będzie wodę kołysał?.. Od zimna?.. A cóż to, u nas nie bywa zimno w porze deszczowej?.. a przecież leje jak z wiadra!.. He!.. Cóż ty na to?.. — Milczałem zdumiony, a król wyszedł trzasnawszy drzwiami. Niedługo wprawdzie pogodziliśmy się; podarowałem mu na zgodę mój zegarek srebrny; ale nawet tak krótkie nieporozumienie wywarło zły wpływ. Ofiary przynoszono coraz marniejsze i coraz mniej licznie zaczęto się zgromadzać rankami. Nie mieliśmy już dawnego znaczenia, nie byliśmy już w modzie. Krążyły szeptki i plotki, które życzliwi natychmiast nam powtarzali, badawczo patrząc w oczy. Ale natomiast Tu-tu-cha-cha poweselał..

W noc ciemną i burzliwą wymknęliśmy się ze wsi i przez lasy puścili w stronę morza. Drogę mieliśmy łatwiejszą, gdyż zawczasu wywiadziałem się o wszystkim; ale zato co było kłopotu z Tomem!.. Wystawcie sobie, zakochał się w księżniczce...

— Tfu! Co za głupstwa plecie!.. — rozgniewał się Tom.

— Przyjacielu, i ty masz serce w chwili rozstania zarzucać mi kłamstwo!.. — westchnął żałośnie Dick.

— Bum!.. bum!.. bum!..—rozległ się dzwon okrętowy.

— Trzecia zmiana!

Majtkowie ze śmiechem poszli do roboty. Dick był wolny, ale musiał raz jeszcze obejrzeć

rzeczy, które brali w podróż, uprząż i sanie, gdyż pełnił obowiązki starszego majtka w tej wyprawie.

Wieczorem wszyscy zebrali się na wieczerzę pożegnalną, podczas której wesoło wznoszono liczne toasty.





Cicho było i bardzo mroźno.

Blask zorzy północnej, rozwieszony po niebie w drżących wstęgach, festonach i rąbkach, zbiegł się na zenicie niby pod nagłym wiatru podmuchem, stężał, rozpałił i utworzył ognisty wieniec przepleciony czarnymi żyłkami. Łuna idąca za nim dołem, po śniegach i lodach, skupiła się także i oświeciła małą gromadkę marynarzy, żegnających się właśnie z towarzyszami. Wszyscy tu byli prócz szyldwacha i ściskali się mocno za ręce; kapitan rozmawiał z oficerami, majtkowie skupili się około Dicka.

— Ja myślę, mister Dick, że panu będzie nudno bez nas, — odezwał się Jurek.

— O tak, mój stary, ale zato będzie wesoło zobaczyć was znowu!

— Będzie zi-mno, wiel-kie zi-mno — troszczył się Li.—Na-miot nie-ma,.. jedna gwiazda.

— Wszyscy mnie, widzę, żałują a Tom nawet na mnie nie spojrzy...

Tom rozmawiał z resztą odjeżdżających majtków. Zrobiło mu się przykro, że wszyscy Dickiem zajęci, z innymi żegnali się pospiesznie, jakby od niechcienia; więc podszedł do nich, a choć mało mówił, mocno ścisnął im ręce. Nawet rudy Jack złośliwy i zazdrosny, był wzruszony serdecznością Toma i przyjaźnie zatrzymał dłoń jego.

— Już czas!.. Ruszajmy!.. Bywajcie zdrowi!.. Na nas czekajcie!.. zawołał nakoniec kapitan.

Dick zabrał się do psów, które pokładły się w uprzęży, uszykował je i świsnął. Psy pobiegły ze szczekaniem, wlokąc za sobą ciężko ładowne sanie; za nimi na wązkich długich łyżwach, podpierając się kijem, ruszyli członkowie wyprawy.

— Powodzenia, kapitanie!.. Wracajcie zdrowi i cali.

— Niech sztandar Ameryki powieje jak można najdalej.

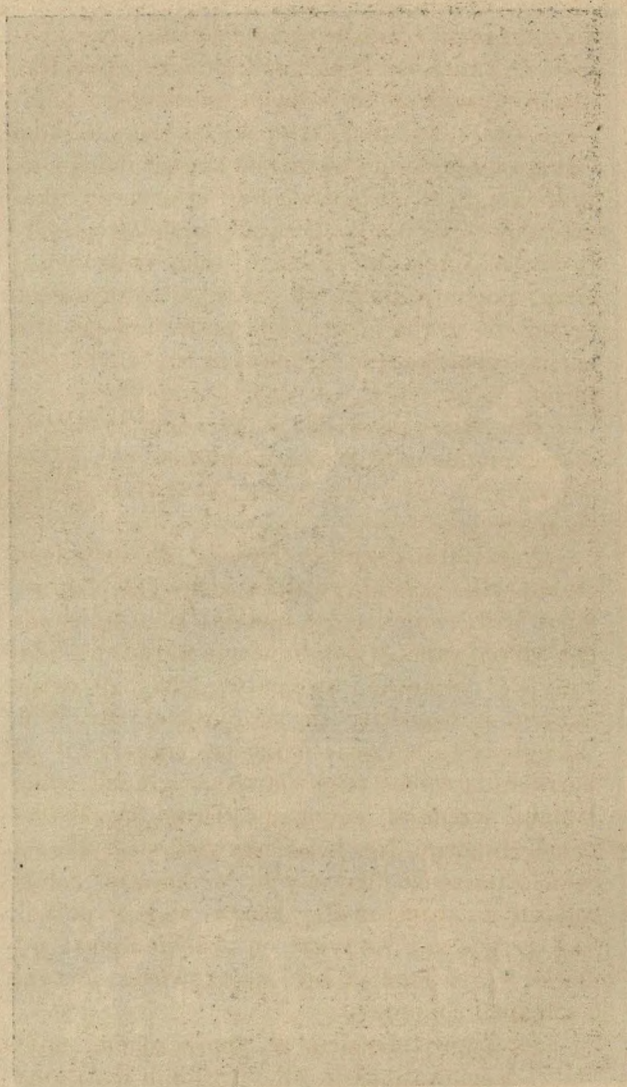
— Hurra!

— Dziękuję!.. Postaramy się!..

— Bywajcie zdrowi!

Oddalali się coraz bardziej; głosy ich milki, postacie rozplywały się w ciemnościach i mgłę. A w ślad za nimi biegły po śniegach fale





rozkołysanych blasków zorzy. Pozostający nie ruszali się z miejsca; czekali, aż znikną zupełnie. Raz jeszcze ukazali się na szczycie pierwszego lodowego zwału, a potem skryli się za jego ścianą. I długo nie było nic widać; aż znowu daleko na widnokręgu, w purpurowem świetle zorzy ukazały się czarne punkciki na zrębie lodowego urwiska, a Jurek, który miał słuch nadzwyczaj ostry, pochwycił dźwięk jakiś, niby skrobanie myszy za grubą ścianą, lub posuwanie się drobnego robaczka po ogromnym srebrnym półmisku.

Marynarze powrócili w milczeniu do okrętu, którego ognie połyskiwały samotnie wśród bladej mgły i lodów, niby gromadka gwiazd z nieba spadłych.

Nazajutrz wszystko wróciło do zwykłego trybu; tylko czas upływał im niezwykle leniwo. Obowiązki swoje każdy spełniał sumiennie, ale bez zamięłowania. Zebrania wieczorne nie udawały się. Senność i apatya wypelzły ze swego ukrycia i rozgościły się na okręcie. Mr. Will, tak sprężysty w czasie burzy na morzu, czuł się bezradnym wobec tego zjawiska; gładził tylko łysinę i wruszał ramionami. Drugi oficer, wiecznie chmurny Nordwist ożywiał się tylko na widok narzędzi fizycznych; w kajucie załogi milczał i spacerował z kąta w kąt; doktor zaś co wieczór zamykał się u siebie i pisał powieść. Cóż mieli robić majtkowie?.. Ziewali i szli spać coprędzej.

— Znowu siedzicie ze spuszczonei nosami!.. Zaspiewalibyście, albo urządzili teatr ama-

torski... Weźcie się do czego... — napędzał ich mr. Will.

— A może doktor zechce nam co przeczytać ze swojej powieści?..

Doktor gotów był czytać, ale Li zaprotestował.

— Dick niema..

— Cóż Dick?.. przecież on nie początek i nie koniec świata. No, Tomie, wymyśl nam cokolwiek..

Tom z wystraszoną miną prostował się i żałośnie spoglądał na towarzyszków.

— E... nic z tego!.. Będziemy czekać..

I czekali, rozmawiając o nieobecnych, o tem gdzie się znajdują i co robią — niezdolni myśleć o czem innem, jak gdyby wszystko inne mało ich obchodziło, prócz gawęd, domysłów i śledzenia na mapie za tem, gdzie przypuszczalnie znajdować się mogła wyprawa.

— Jeśli codziennie robili tylko 10 mil, to muszą być tu...

— Tak, ale po lodzie nie tak łatwo chodzić!.. Trzeba zbaczać... sądzą więc, że są znacznie bliżej!..

Zaczynała się sprzeczka, często namiętna i długa, która zazwyczaj kończyła się oburzeniem i gniewem.

— W każdym razie, powinnyby już wracać!.. — wzdychał mr. Will. — Kapitan mówił, że dłużej nad miesiąc nie zabawi.

Tymczasem oznaczony termin minął, a ich wciąż widać nie było. Wszystkimi zawładnęła paląca tęsknota; nawet doktor zaprzestał swego

pisania. Majtkowie, bez względu na trzaskający mróz, całymi godzinami wystawali na pokładzie statku, nasłuchując, czy jaki dźwięk nie doleci ich uszu wśród tej grobowej ciszy.

Nareszcie pewnego wieczoru, kiedy właśnie nikt ich nie oczekiwał, sztyldwach uderzył w dzwon.

— Idą!..

Na pół ubrani wyskoczyli wszyscy z kajuty.

— Co takiego?.. Nie może być!.. Idą?..

— Idą!

— Gdzie?.. Sanie nie skrzypią, psy nie szczekają. .

— Może niedźwiedź przekrada się wśród lodów?

— Słyszycie?..

W milczeniu natężyli słuch... Istotnie, zdała doleciał ich krzyk jakiś, czy stukanie... Chcieli natychmiast biec w kierunku dźwięku, ale mr. Will wstrzymał ich.

— A jeśli niedźwiedź?.. Czterech niech weźmie karabiny, rusza naprzód!.. Reszta czekać!.. Na kogo tam kolej?..

Lecz pierwaj nim wyznaczeni majtkowie stanęli gotowi do drogi, z za wzgórz lodowych wysunęły się cztery ludzkie postacie. Na ich spotkanie, nie słuchając już rozkazów, wybiegli wszyscy, nie wyłączając mr. Will'a.

— Zdrowi? cali?

— Gdzie psy? gdzie sanki?

A gdzież został piąty?

— Kogo niema?

— A daleko dotarliście?

— Pewnieście słabi i zmęczeni?

Zarzucali przybyłych pytaniami, chwytając za ręce i ściskając bez różnicy, majtków i oficerów.

— Poczekajcie!... Dajcie dojść na miejsce!.. Nie jedliśmy już dni kilka... Wina choć kropelkę!..

— Zaraz!.. Lećcie!.. Nieście!..

— Do bieguna!.. ho! ho! łatwo powiedzieć!.. Zrobiliśmy tylko mil 200. W polach szczeliny... trzeba było okrążyć... Sanki złamały się... porzuciliśmy... psy zjedliśmy... A Jack... został. Wszystko wam opowiemy... po trochu.

W milczeniu weszli na okręt. Wychudli, znużeni, poprosili zaraz o kąpiel i czystą bieliznę. Doktor zbadał uważnie stan ich zdrowia i nic nie znalazł prócz zmęczenia i lekkich odmrożeń. Radził im jednak zaraz położyć się do łóżka, a opowiadanie na później zostawić.

Nazajutrz kapitan oświadczył się z gotowością dania krótkiego sprawozdania z podróży. Opowiadał zwięźle, jak przedzierali się przez góry lodowe; jak cierpieli od zimna i braku ciepłego pokarmu; jak znaleźli ślady lisa, wskazujące, że tam, na północy musi być ziemia; jak postanowili wrócić nie dotarwszy do niej... Gdy doszedł do choroby Jack'a, wzruszenie nie dało mu mówić... Dalszy ciąg opowiadania odłożono na później...

A nazajutrz wszystko już poszło zwykłą koleją.

Po obiedzie majtkowie zebrali się w swojej kajucie. Dick leżał w hamaku z zamkniętymi

oczami. Nie śmieli przeszkadzać mu i cicho szeptali po kątach. Wreszcie on sam odezwał się do nich.

— Nic wam dzisiaj nie powiem, towarzysze... kiedyindziej!.. Myślę o Jacku... Był złośliwy i często kłócił się z nami, ale teraz leży tam, daleko porzucony wśród lodów, na pożarcie niedźwiedziom... Zachorował nam zupełnie niespodzianie... spuchły mu nogi... nie mógł iść... Psów nie mieliśmy już wtedy, więc zrzuciliśmy z sanek część zapasów; położyli go na nich i ciągnęli... Jęczał, majaczył, rwał odzież na sobie, odkrywał piersi, nakoniec ucichł — na zawsze!.. Owinęliśmy go w gwiaździste znamię i położyli na zrębie lodowego urwiska... Nie mieliśmy już sił grobu wykopać... Do okrętu pozostało nam jeszcze mil z 50... Biedak tęsknił bardzo do ojczyzny i w malignie wciąż mówił o Frisko.

— O Frisko!.. Pytanie, czy je ktokolwiek zobaczy!.. — odezwało się wielu.

— Niech wam język uschnie! Jak możecie takie rzeczy gadać!..—energicznie zawołał Dick, zrywając się z posłania.— Myśmy też gwiazdy w drodze mierzyli i wiemy, że lody zwróciły się na południe... Dlatego właśnie nie dotarliśmy do bieguna!.. Kapitan postanowił wracać!..





— Lody mogą znowu zwrócić się na północ. Dlaczego kapitan milczy i na co czeka?.. Czas upływa... Okręt prawie rozbity...—sarknęła po kątach załoga.

Niepokój znowu ich trawić zaczynał. Nawet oficerowie milczeli posepnie, gdy kapitan mówił o rzeczach nie mających z powrotem nic wspólnego. Wesoły Dick przestał żartować. A kiedy stało się wiadomem, że lody istotnie zawróciły na północ, niezadowolenie załogi groziło formalnym buntem.

— Co on chce z nami zrobić?!.. Czyż dlatego, że wzięliśmy pieniądze, mamy umierać?!—hałasowali majtkowie zebrani w kajucie.

— Kiedyż nareszcie dyabli wezmą ten prze-

klety parowiec,—krzyknął Smith, mały szczupły brunet.

Życzenie to wywołało niespodziewane wrażenie. Marynarzom zrobiło się żal pięknego statku, z którego byli niegdyś tak dumni; umilkli więc i rozeszli się strapieni.

Nazajutrz kapitan rozkazał całej załodze zebrać się na pokładzie. Majtkowie w futrzanych bluzach, podpasani i zapięci, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, uszykowali się w dwa szeregi. Na boku stanęli oficerowie. Zbliżało się południe. Nad lodami zajaśniał blado-różowy świt, który już od dni kilku przerywał jednostajność podbiegunowej nocy. Wszyscy z namiętnością wpatrywali się w twarz kapitana, niewyraźnie rysującą się w szarem świetle.

— Majtkowie — przemówił on — zauważyłem wśród was pewien niepokój. Dotychczas nie mogłem się skarżyć na was; obowiązki swoje spełnialiście dobrze. Wicie zresztą o tem, że ja nie dopuściłbym żadnej opieszałości. Ale obecnie nie widzę poprzedniego zapału... Tymczasem nadchodzi wiosna; lody pękają. Mam zamiar szukać dalej przejścia... Zobowiązania nasze uważam za niespełnione... Niewątpię, iż wśród was niema takiego, któryby zgodził się porzucić statek cały i nieuszkodzony, nie wyczerpawszy poprzednio wszystkich środków... My pójdziemy, musimy pójść dalej....

— Okręt leży rozbity!.. Po mocnych, zimowych lodach moglibyśmy daleko posunąć się na południe!.. — Życie każdemu mile!.. — zaczął cicho mówić Smith, stopniowo głos podnosząc.

Kapitan umilkł i wpatrzył się w mówiącego, jak gdyby go nie rozumiał. Marynarze wstrzymali oddech.

— Botsmen — rzekł wreszcie kapitan — za-
kuć Smitha w kajdany i odprowadzić na dno
okrętu!

Nie dodał nic więcej, tylko odpiął futerał
rewolweru. Wśród oficerów powstał ruch. Tom
wystąpił z szeregu; dolna szczęka widocznie
mu drżała. Zrobił zwrot na lewo i sztywnym,
żołnierskim krokiem podszedł do towarzysza.

— Chodź!.. poddaj się!.. — szepnął, lekko
trącając go w ramię.

Smith rozgorzałym wzrokiem powiódł po
obecnych i ruszył, spuściwszy głowę. Zeszli na
dno okrętu, gdzie rzadko kto chodził i gdzie
mieściła się pośledniejsza część zapasów. Zimno
tam było i tak ciemno, że noc podbiegunowa
mogła się wydać przejrzystym porankiem w po-
równaniu z tą ciemnością.

— Czyż światła nie zostawicie mi? — zapy-
tał Smith.

— Nie wiem... muszę spytać kapitana... Po-
trzeba było... — Tom nie dokończył i pospiesznie
zaczął szukać czegoś między beczkami. Smith
patrzył ze złością jak olbrzymi cień jego, odrzu-
cony przez światło latarni, przesuwa się po niz-
kim stropie.

— Szuka pewnie łańcuchów... Słuchane
rzeczy!..

Istotnie, nikomu nie przyszło do głowy, że
kajdany mogą być potrzebne i niepodobna było
ich znaleźć. Daremnie Tom przerzucił wszyst-

ko—łańcuchów nie znalazł. Pełen strachu szedł zawiadomić o tem kapitana. Został go w kajucie, pogrążonego w papierach. Nie odwracając głowy, zapytał majtka:

— Zamknąłeś go?

— Tak jest, kapitanie!

Tu urwał i odchrząknął. Kapitan gładził wąsy i czekał.

— Tam pewnie bardzo zimno? — zapytał trochę łagodniej.

— Zimno, kapitanie!.. Zimno, wilgotno i ciemno... Prosił, żeby mu zostawić latarnię...

Kapitan zatrzymał rękę u końca wąsa.

— Nie—rzekł porywczo—nie mogę pozwolić... Zanieś mu pościel i ciepłe ubranie!

Tom chwilę postał; nie miał jednak odwagi wspomnieć o kajdanach i wyszedł stroskany.

— Cóż? zwolnił?.. pytali, obstąpiwszy go majtkowie.

— Tego już nadto!..

— Smith prawdę powiedział: każdemu życie miłe!..

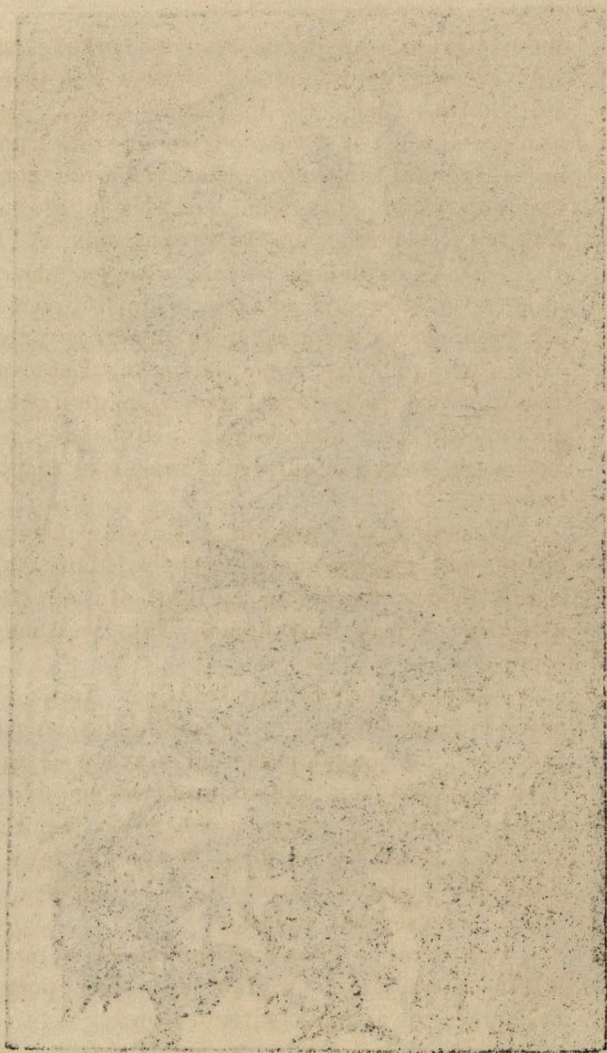
— Albo ja wiem!.. Trzeba będzie prosić Mr. Will'a—zadecydował Tom.

Poszedł do niego, a inni udali się do doktora i zaczęli mu rzecz przekładać. Następnie Will, doktor i Nordwist zamknęli się u siebie na naradę.

Smith tymczasem rozmyślał, rzuciwszy się twarzą na paki. Skażą go na chłostę albo i gorzej... W każdym razie czeka go hańba... Przepadła jego dobra sława... Wszyscy we Frisko zaraz się dowiedzą... Mówią o nich i o najmniejsze wywiadują się szczególnie... Widział w du-

szy szerokie ulice rodzinnego miasta, rojące się tłumami postrojonych ludzi... wszyscy stronili od niego... pokazywali go palcami... Znajomi nie poznawali go... Och, gdyby ci tchórze poparli go byli, gdyby wszyscy powiedzieli jednogłośnie, że chcą wracać... wtedy kapitan musiałby się zgodzić a potem jeszczeby im dziękował... Dziękował?.. chyba nie!.. Nie ustąpiłby!.. On nie taki jak inni, on jak mur!.. Prędeej dałby się zabić!.. Ale z nim trzebaby zabić Will'a, Nordwist'a, doktora, Toma i Dicka... i wszystkich!... bo wszyscy z nim trzymają... Podli kłamcy!.. Po kątach to gadają, a gdy przyszło do rzeczy, opuścili go... Już wtedy byli przeciwniemu, gdy przeklął „Nadzieję.“ A co za korzyść z podłego okrętu, leżącego na morzu jak zgniła ryba?.. Wszyscy zginą z nadejściem lata!.. Dlaczego nie chcą ratować się?.. Naco im te odkrycia, mapy, sława, jeśli mają umrzeć?.. Przecież nikt się nie dowie, co zrobili... Czyż nie lepiej uratować siebie i to co już mają?.. A wszystko zgubią i siebie nie uratują!.. Z sobą mają prawo robić, co chcą... ale on, Smith, żyć pragnie... szczególnie teraz, gdy tyle z pensyi zaoszczędził... Porzuci służbę, osiadzie pod miastem, kupi fermę i będzie gospodarował... Już widział siebie w dużym słomianym kapeluszu, z krzywym nożem ogrodniczym... Chodził wśród drzew obciążonych owocami — wszędzie były kwiaty... Słońce świeciło, pszczoły brzęczały, motyle latały... Wśród drzew bielał domek z czerwonym dachem i zielonemi okienicami... Słychać było śmiechy biegnących dzieci... pę-





dem zbliżają się ku niemu—to syn i córka... Dziwny człowiek ten kapitan!.. Jota w jotę to samo widział u niego w willi podmiejskiej... Był tam posłany przed samem odejściem statku. Pamiętał łagodne spojrzenie czarnych oczu żony kapitana, dziwnie przyjemny dźwięk jej głosu... Kapitan jest dumny, uparty, zarozumiały, bierze dużą pensję i dlatego pewnie chce wszystkich utopić... Gotów był go zabić; widział przecież jak odpinał rewolwer... Może myśli, że przez śmierć swoją zubożyci żonę i dzieci... Zapewne Towarzystwo nie będzie skąpić wynagrodzenia, ale on, Smith, nie ma nikogo... Jedyna więc pociecha, że wszyscy oni z nim razem zginą pod lodem...

Wszedł Tom z pościelą i futrem. Chwilę postął, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale Smith twarzą ku niemu nie obrócił i nie odezwał się na jego chrząkanie. Tom westchnął i wyszedł.

— Podły, nickszemny służalec. Teraz się kręci i udaje dobrego, a na pokładzie milczał jak ryba... A jednak przedtem wszyscy się zgadzali, że każdy ma prawo bronić swego życia. Przecie on bronił swego i ich życia, a oni go wydali... A gdyby się udało, wszyscyby go wynosili pod niebiosa!.. Postąpili z nim podle... są lotry... wszyscy bez wyjątku!..

Powtarzał to sobie nieustannie, ale w miarę jak się uspakajał, coś w głębi jego serca poczynało protestować przeciw temu słowu.

— On nie winien... on miał prawo... ale widocznie... istnieje jeszcze inne prawo, prócz

prawa życia—i inna prawda. I nagle dotychczasowe jego pojęcie o prawdzie rozpołowilo się: zdało mu się, że muszą być dwie prawdy — prawdą życia i prawda obowiązku; nie umiał jednak połączyć ich i bił się z myślami. Prawda obowiązku wydawała mu się także jakoby prawda życia. Czyż ludzie bez niej mogliby pracować wspólnie, a nawet żyć po sąsiedzku?.. Czytał coś o tem... Nawet milcząco można się zobowiązać do wielu rzeczy... i oburzać się na innych za lekceważenie takich zobowiązań!.. Wszak on sam, niedawno gniewał się na Jurka zato, że wziął kozuch bez jego pozwolenia, a przecież Jurek nie obiecywał że jego kozuszką nie weźmie... Gdyby nie było takiej milczącej umowy między ludźmi, jedni drugim nie wierzyliby, a nawet mordowali się we śnie, choć obowiązkiem każdego jest nikogo nie krzywdzić!.. Obowiązek!.. obowiązek!.. co mi z tego, jeśli umrę... Nikt wiedzieć nie będzie, że go spełniłem!.. No, wiedzieć to już chyba będą... domyślą się, jeśli nikt nie wróci...

Coraz bardziej płątały się jego myśli. Czuł ogromne znużenie, jak gdyby po wielkiej burzy przebytej na rejach. Zgarbił się, głowę spuścił i poraz pierwszy poczuł zimno; więc nogi w pościel wsunął i nakrył się futrem. Zaczął drzeć, ale budził się co chwila, zawsze z tą samą swidrującą mu w głowie myślą.

Kapitana niepokoiło posępne zachowanie się majtków. Pamiętał dobrze ich twarze w chwili, gdy Tom uprowadzał Smitha. I oficerowie byli jacyś dziwni... — Czuł, że na nikogo liczyć nie

może... Siedział w swojej kajucie i patrzył w mapy, ale nie przed sobą nie widział... rozbiierał tylko w najdrobniejszych szczegółach każdy czyn, każdy wyraz swoich podwładnych.

Tak, bunt tli już oddawna i trzeba temu koniec położyć! Drzwi otworzyły się i do kajuty zajrzała łysa głowa mistera Will'a.

— Może przeszkadzam?

— Nie, proszę!

— Chciałem z panem, kapitanie, pomówić...

Widzi pan, bo trochę za surowo...

Kapitan podniósł się z krzesła.

— Mister Will, kto jest dowódcą tego statku? Ja, czy pan?

— Tak, kapitanie, ale...

— Bez ale! Jeżeli kto jest winien w całej tej sprawie, to pan! Nie umiesz utrzymać powagi władzy. Jesteś zadobry, zapoufały z majtkami. Prości ludzie muszą czuć pana nad sobą, więc albo skasujemy wszelką władzę, albo... Bunt dojrzał w czasie mojej nieobecności...

— Upewniam pana, że nie rozmawiałem z nimi... Choć, prawdę mówiąc, myślę iż Smith ma po części rację.

— Co? Proszę bardzo nie zmuszać mię do tego, bym także i pana aresztować kazał.

Mister Will poczerwieniał, łagodne jego oczy błysnęły stalowo; wstrzymał się jednak, a widząc, że kapitan zajęty czem innem, nie zdaje się zwracać na niego uwagi, wyszedł z kajuty.

W chwilę później wszedł Nordwist. Siadł

i tak długo milczał, że zniecierpliwiony kapitan zaczął gwizdać jakąś aryę.

— Kapitanie — odezwał się nakoniec — sądzę, że kajdany są zbyt ciężkie!

— Hm!

— Tembardziej, że ich nie znaleziono!

— No, rozumie się; w takim razie sprawa przedstawia się zupełnie jasno!

Nordwist umilkł. Kapitan przegwizdał całą aryę, zanim młody oficer domyślił się, że wyjść powinien. Doktora kapitan sam wezwał. Pokazał mu język i zasięgnął rady co do swego zdrowia, nadwątłego trochę podczas wyprawy; a tak patrzył na niego, że doktor nie śmiał słowa powiedzieć. Bardzo zły wyszedł z kajuty i bohaterowi swej powieści narobił wieczorem wiele nieprzyjemności.

Tom widział te wędrówki do kajuty kapita-
na i był ogromnie wesoły; ale Dick nie robił mu wielkich nadziei.

— Ty wszystko widzisz w czarnych barwach — powiedział mu Tom i poszedł zanieść jeść Smith'owi.

Znalazł go leżącym z twarzą ukrytą w poduszce. Postawił przed nim beczułkę, na niej położył deskę a na desce umieścił miskę i przybory.

Smith leżał i nie ruszał się.

— Zjadłbyś ciepłej stawy, Smith.

— Nie gadam z tobą!.. Jesteście nędznicy!..

— wybuchnął Smith, ale się podniósł i spojrział na zupeł.

— Nie bądź uparty, zjedz trochę, bo jeszcze zachorujesz. Kapitan miał przecie słusność. Pomyśl tylko jakiby to był wstyd, gdyby rozeszła się pogłoska we flocie amerykańskiej, że my, wybór marynarzy, porzuciliśmy bez konieczności statek, będący w dobrym jeszcze stanie... Nie przyjętoby nas na żaden okręt.

— Cóż z tego!.. Jak umrzesz, to też cię nie przyjmą... Czyż to nie było przykładu, żeby tu, na Północy, marynarze opuszczali okręty?..

Tom milczał i w zakłopotaniu skubał futro.

— Wiesz co, Smith, zostawię ci latarnię! Choć kapitan nie pozwolił, ale przy świetle będzie ci weselej...

— Nie chcę, nie trzeba!.. Zabieraj, bo zgaszę... Kapitan łotr, a tyś jego lokaj!..

Tom nie słuchał; latarnię postawił, zabrał naczynia i wyniósł się. Smith krzyknął jeszcze coś za nim, ale światła nie zgasił. Tom widział je świecące przez dziurkę od klucza, gdy sam w ciemności drapał się po schodach.

Nazajutrz ku wielkiemu zadowoleniu załogi, Smitha przeprowadzono do osobnej kajuty na górę, jasnej i opalanej, umyślnie przez Nordwista w tym celu opróżnionej. Tam on pozostał przez dwa dni. Przez ten czas schudł, zmienił się i gdy kapitan po upływie trzech dni wezwał go do kajuty załogi, wszedł blade, chwiejąc się na nogach.

— Cóż to? chory jesteś?—spytał kapitan, obrzuciwszy go bystrem spojrzeniem.

— Tak jest, kapitanie!

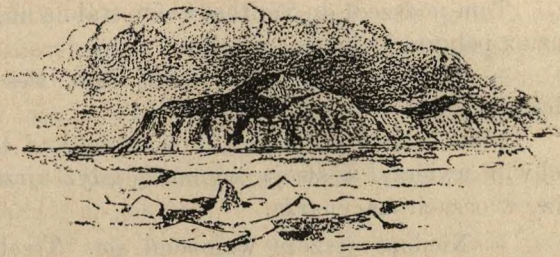
— Dlaczego nie powiedziałeś?

Smith spuścił głowę. Kapitan patrzył na niego i lewą ręką wąs gładził.

— Możesz iść do wspólnej sypialni!.. Jesteś wolny... Niech cię doktor obejrzy... — rzekł wreszcie.

Tydzień przeleżał Smith w gorączce. Uratowało go troskliwe pielęgnowanie towarzyszków. Gdy odzyskał przytomność, zaszło wiele zmian, a i on czuł się też innym.





Szybko rozrastały się i zabarwiały blaski poranne; jasnością swoją wypełniały całe niebo, a powietrze nasycaly różowym blaskiem. Noc trwała kilka godzin zaledwie; ale mimo to słońce nie pokazywało się jeszcze: przebywało wciąż poniżej widnokregu, ciągnąc za sobą obłok złocistej światłości. Gdy nareszcie wyrzało przez głęboką szczelinę w lodowych zwałach, sztyldwach uderzył we dzwon. Wszyscy wybiegli na pokład i głośnym okrzykiem powitali dawno oczekiwanego gościa. Dnia tego wesola uczta odbyła się w kajucie załogi. Wznoszono toasty „za wielkie i wolne Stany Zjednoczone, za marynarkę amerykańską, za Towarzystwo mórz Północnych, za „Nadzieję“ i jej załogę;“ a kapitan... wniósł kielich „za przyjaźń, za zgodę, za spełnienie przedsięwziętego dzieła!..“

— Hurra!..

Wszyscy trącili się kieliszkami, za ręce się ściskali, nawet całowali.

Tom podszedł do Smitha, który stał na uboczku z pełnym kielichem w ręku.

— Cóż bracie?... trącimy się?.. Bądź wesołej myśli!..

Nie wiedział co więcej powiedzieć, od tej chwili uwierzył w swoją wymowę, gdyż ujrzał łzy w oczach marynarza.

— Niedosć jeszcze wzmoenił się. Trzeba unikać silnych wyrażen... — pomyślał zakłopotany.

Szczęściem Dick nawinął się tuż pod rękę.

— Hm. Dick, chodźno tu na chwilę!..

— A po co?

Tom kiwnął głową w kierunku Smitha, który już się uśmiechał.

Dick domyślił się w mgnieniu oka.

— Ej, stary, wypijemy! — zawołał wesoło. — Przecież będziemy sąsiadami, gdy wrócimy do Frisko i kupimy kolonię. Dzieci nasze poženimy!..

Majtkowie otoczyli ich zaraz i zaczęli wtrącać do rozmowy swoje wesołe uwagi. Smith, od którego po buncie stronili trochę, znalazł się niespodzianie wśród nich. Wieczór upłynął w niezwykłym ożywieniu. Żartowano, śpiewano, grano na fortepianie, nawet tańczono... Jurerek, który nie umiał ani walca, ani polki, uprosił, aby mu pozwolono zatańczyć „swojego“. Mistrz Nordwist siadł grać „John'a Dodge“ weso-

łą, według Jurka, najodpowiedniejszą do pła-
sów melodyę. Chłopak, przyspiewując, puścił
się „w prysiudy“ i takie szpryncy wyrabiał no-
gami, takie wycinał piruety, że oczarował
Amerykanów. Gdy na zakończenie czapkę na
środku sali położył i z góry do taktu dłonią
w nią uderzył, niby kropkę postawił tańco-
wi, rozległy się rześiste oklaski.

— Zuch Jurek! — powtarzali majtkowie, kła-
dąc się do snu.

Od tego dnia słońce stanęło nad lodami i jak
tarcza ognista toczyło się ponad białemi, szczer-
batemi ich szczytami. Zachodziło na bardzo
krótko, zostawiając po sobie taką jasność, że
noc znikła — złała się z dniem w jedno pa-
smo kryształowe; wreszcie zachodzić przestało.
Wszystko wróżyło prędką zmianę. Powietrze
złagodniało; zawiąły lekkie wiatry i wstrząsnę-
ły lodowemi szczytami; a kiedy się wzmogły,
zakołysało się i pękło olbrzymie pole, w brzeg
którego wmarzła była „Nadzieja.“ Ocean zbudził
się także i zaczął dyszeć. W dali rozległ się
głuchy łoskot, podobny do strzałów armatnich
to pękały i kruszyły się lody. Łoskot potężniał
i zbliżał się z każdym dniem, z każdą niemal
godziną.

W końcu maja parowiec otaczała nie du-
ża już wysepka trwalszych lodów; a doko-
ła jak okiem sięgnąć, wśród nieustającego ło-
skotu, plusku i chrzęstu, wirowały bryły, kry
i góry. Nakoniec jednego ranka parowiec za-
dygotał tak gwałtownie, że wszyscy nawpół
ubrani powyskakiwali na pokład. „Nadzieja“

poruszyła się; lód pękł pod nią i z wolna się rozsunął, tworząc głęboką szczelinę.

Takich szczelin i rysów było dużo na całym polu, więc część majtków rzuciła się ratować od zatonięcia złożone na lodzie zapasy. Reszta pozostała na okręcie, gotując się do walki. Teraz dopiero załoga pojęła, jak rozsądnym było rozporządzenie kapitana, dotyczące usunięcia brył przymarzłych do boków okrętu. Bryły te mogły naruszyć równowagę statku i zatopić go. Parowiec tymczasem łagodnie zsunął się do wody i zakołysał na niej pięknym ruchem spuszczonego na swój żywioł statku. Majtkowie z radością poczuli znowu chwiejny pokład pod sobą, ale kapitan nie miał troski. Śledził bacznie za ruchami lodów, kazał rąbać bryły i staczać je do szczeliny, w której chwiały się zamknięte statek. Chciał w ten sposób osłabić siłę uderzenia w razie, gdyby się znowu zwały brzegi lodów. Rzeczy musiano też ciągle z miejsca na miejsce przenosić, gdyż pole lodowe rysowało się i kruszyło na coraz drobniejsze kawałki. Oficerowie i majtkowie pracowali bez wytchnienia. Była chwila, że myślano iż lody rozstąpią się i wypuszczą „Nadzieję“ z tej zimowej obryczy, na bardziej swobodne przestrzenie; ale chwila ta trwała krótko. Lody zwały się znowu i poczęły tak gwałtownie cisnąć okręt, że groziło mu zgruchotanie. Brzegi szczeliny schodziły się i rozchodziły niby ostrza nożyc ściskanych niewidzialną ręką. Statek chwiały się, pochylał, aż wreszcie pękł z głuchym trzaskiem. Pęknięcie szło przez cały pokład i świeciło w bokach

okrętu. Kapitan kazał spuścić szalupy i wylądować pozostałe zapasy żywności. Rozkaz wykonano szybko i składnie.

Załoga rozdzielona na trzy części pod dowództwem trzech oficerów, skupiła się w milczeniu u swych łodzi. Naczynia kuchenne, apteka, narzędzia astronomiczne, księgi okrętowe — wszystko ułożono starannie na sanki zaprzężone w psy i powierzono Dickowi.

Kapitan obchodził oddziały, oglądał łodzie, ich maszty i żagle; sprawdzał ze spisem w rękę, czy wszystko zabrano. Każdy majtek wziął dwie zmiany bielizny, dwie pary butów i jedzenia na dwa miesiące. Resztę kazano im zostawić. Niechętnie rozstawali się z drobiazgami, do których przywykli.

— Wolno zabrać tylko listy, fotografie krewnych i notatniki do zapisywania wypadków, przestrzegaj kapitan.

— Doktorze, nie mogę pozwolić na to, żeby pan zabierał taką grubą księgę.

— To mój romans! sam nieś go będę, oprócz przypadającego na mnie ciężaru...

— Choćby nawet!.. Siły pańskie nie do pana obecnie należą... Proszę zostawić!

Odwrócił się i poszedł dalej; a doktor z kwaśną miną zaczął szukać miejsca, gdzieby złożyć swój utwór. Nie chciał go rzucić byle gdzie, więc wybrał zagłębienie w jednej z brył lodowych. Jednocześnie marynarze poczęli wypróżniać napchane kieszenie i wyrzucać różne drobiazgi z tłumoczków. Tom stał w pierwszej gru-

pie i oczu mgłą zaszłych nie spuszczał z „Nadziei.“

— Co to?—spytał kapitan, zatrzymując się przed nim i palcem dotykając odstającego miejsca na piersiach, za bluzą. — Powiedziałem: tylko fotografie, listy i notatniki...

— Tom obejrzał się, a widząc, że wszyscy wyrzucają drobiazgi, zmieszany wyjął z zanadru swoją fajeczkę w drewnianym futerale. Żał mu też było rzucić ją pod nogi, więc rozglądał się za dogodnym miejscem; spostrzegł to Dick i krzyknął:

— O, tu!.. Połóż gdzie leży powieść doktora!.. Będzie jej weselej w sąsiedztwie uroczej Alicyi!..

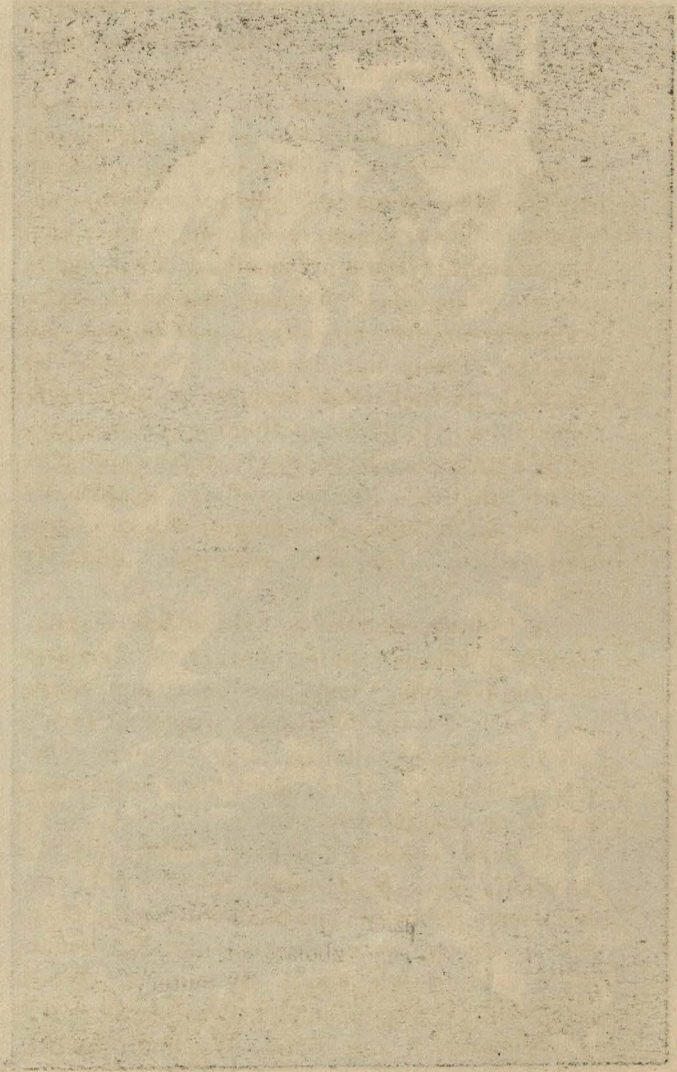
Tom odwrócił się, ale w tej chwili lód zakłótywał się pod jego nogami.

— Tonie... tonie... zaraz zniknie!.. — szepotali marynarze.

Istotnie! Lody, podtrzymujące „Nadzieję“, rozwarły się i statek zaczął pogrążyć się szybko. Upłynęła zaledwie chwila, a na powierzchni czerniał już tylko jego koniec i maszty; lecz i te wkrótce znikły. Mniejsze kry i drobne odłamki lodu, szeleszcząc i tłukąc się o siebie, zakotłowały się w utworzonym przez statek wirze. Z okrętu zostały tylko trzy łodzie, ludzie i stos śmieci na zwałach lodowych. Nad nimi wznosiły się blade niebiosa, a dokoła zwycięzko szumiał ocean, wiatr wył i gwizdał.

— W drogę!—rozległa się komenda. Ode-





zwały się świstawki oficerów; psy, szczekając, porwały się z miejsca i biedni rozbitkowie ruszyli ku dalekiemu lądowi.

Przebywszy obszerne pola lodowe, weszli w pas brył drobniejszych bardzo ruchliwych i znaleźli się w istnem piekle wiecznego łoskotu i ruchu, gdzie uwaga w ciągłym musiała być natężeniu. W przeciągu dwóch dni nikt z nich oka nie zamrużył, nie przysiadł na chwilę, gdyż nie było gdzie usiąść. Drobne, kanciaste bryły, kry przezrocyste, zapadały im pod nogami jak klawisze. Trzeba było biedz po nich szybko, by dostać się na większe odłamy, na których także niepodobna było pozostać długo, gdyż fale unosiły je z drogi, kruszyły, topiły, wysuwając inne na ich miejsce. Rzadko trafiały się takie, na których kilku ludzi stać mogło, a jeszcze rzadziej zdolne pomieścić wszystkie oddziały razem.

A tymczasem trzeba było łodzie ciągnąć i rzeczy prznosić. Sanie okazały się niezdatne do takiej podróży. Cenne przedmioty umieszczone na nich, o mało nie zostały stracone. Trzeba było przenieść je na łodzie, a psy puścić. Biedne, zgłodniałe zwierzęta, wyjąc, szczekając, wlokły się czas jakiś za niemi.

O suchej odzieży i ciepłym jedzeniu marzyć przestali. Marzyli natomiast o większych płaszczyznach, gdzieby choć na chwilę mogli przysiąść i wyciągnąć zbolale członki. Na domiar złego, zaczęła ich trapić dysenterya. Woda z wierzchnich warstw śniegu, była jeszcze za słona dla ludzkich żołądków. Wychudli jak wi-



dma, wlekli się, ciągnąc liny przymocowane do ciężko grzęznących i w szczelinach utykających szalup, pełnych ładunku. Słońce paliło. Pot i ostra woda morska wżerały się w strupami okryte rany przez powrozy zrobione. Nogi wiecznie mokre, przeziębłe, pokaleczone, bolały strasznie. Szli machinalnie zapatrzeni choremi, od blasku załzawionemi oczami, w zawsze jednakowo blado-siną dal. Zrozpaczeni, w głębi duszy pragnęli nieraz śmierci, spokoju, za jaką bądź cenę, a jednak nikt się nie rzucił w kołyszące pod ich nogami głębinę; wszyscy wlekli się wyteżając siły, podtrzymywani chyba widokiem wspólnej niedoli..

Przodem szli Tom z Nordwistem, spełniając trudny obowiązek przewodników. Oni pierwsi wydali okrzyk:

— Ziemia!.. ziemia!..

— Gdzie?.. gdzie?..

— O, tu!.. mówił gorączkowo olbrzym, — zupełnie blisko, o jakie 30 mil angielskich... Mgła zasłaniała dotąd... Widzicie tam, za lodowemi górami te ciemne wzgórza?..

Trzydzieści mil ¹⁾ znaczyło jeszcze dwa dni drogi; ale widok lądu dodał im otuchy i siły. Nazajutrz byli już tak blisko, że gołem okiem mogli rozróżnić ciemne, splekane urwiska; wodospady z gór płynące i jasną zieloność murawy. Ostatnie mil dziesięć najbardziej dały im

¹⁾ Wszędzie jest tu mowa o milach morskich, mających 1,852 metry długości, to jest równających się dwóm wiorstom.

się we znaki. Lód w kształcie drobnych słupków i brył kanciastych, tworzył coś w rodzaju olbrzymiej szczotki kołysanej przez wiatry i fale. Gdy przebili się przez te zapory, wydostali się na pola lodowe szybko z prądem płynące. Prąd uderzał o wyspę i zawracał znowu na pełne morze. Oni wpadli w zagięcie, poniżej zwrotu.

— Jeżeli za godzinę nie będziemy na lądzie, to porwie nas fala na głębie — rzekł kapitan, marszcząc brwi.

Brzeg był tuż, ale między nim a rozbitkami płynął pas wartkiej wody, pełen drobnej kry i odłamków lodowych. Od czasu do czasu od ruchomych lodów przesmyku, oddzielały się większe bryły i z szelestem wypływały na środek, zatapiając drobniejsze. Zdawało się niepodobieństwem przejść lub przepłynąć przez tę kaszę lodową. Marynarze z rozpaczą spoglądali na ziemię, kwiaty, trawę, strumienie wody słodkiej, które z wolna przesuwwały się przed nimi. Mijali już ostatnie urwisko i długą płaską ławicę, poza którą było znowu morze pokryte płynącymi lodami.

— My musimy się tam dostać! — krzyknął nagle kapitan. — Hej! chłopcy! związać liny od wszystkich szalup!.. Sprobujmy przepawić się na naszej krze jak na promie!.. Aby tylko linę przerzucić na drugą stronę!.. Do końca przymocować kłębek szpagatu...

Rozkaz wykonano natychmiast, ale nie było takiego, ktoby ofiarował się przenieść linę na brzeg lądu. Kapitan czekał chwilę.

— Mister Will, obejmujesz pan dowództwo po mnie!.. Podajcie szpagat!

Zdjął z piersi woreczek z cennymi papierami, położył lunetę i odczepił pas z rewolwerem.

— Na to nie zgodzimy się, kapitanie!.. Ty musisz umrzeć ostatni!..

— Pozwólcie mnie!..

— Kapitanie, mnie pozwól, proszę... — nieśmiało odezwał się Smith.

Kapitan popatrzył nań chwilę i oddał mu koniec szpagatu.

— Dobrze... Ty masz prawo przed innymi...

Smith szpagat przywiązał do długiego bosaka, który wziął w ręce — i poczekawszy chwilę, puścił się, skacząc po krach, wśród wirów. Przejść miał nie więcej jak kroków pięćdziesiąt, ale dobiegłszy do środka, poślizgnął się i znikł pod wodą. Na lodzie został szpagat, bosak i czapka.

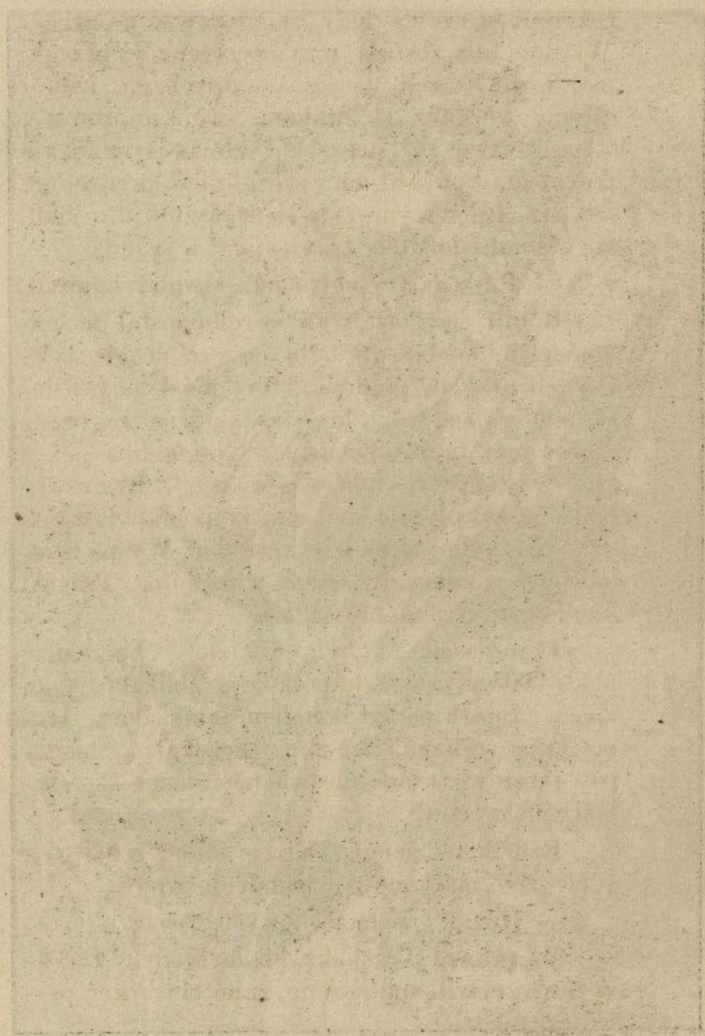
— Utonął!.. utonął!... — krzyknęli marynarze.

Ale nie. Po chwili, w bliskości miejsca gdzie upadł, pojawiła się jego głowa, a następnie część korpusa.

— Chwała Bogu! stoi na dnie... Ale co on robi?. Na łód się wdziera... Daj pokój!.. zginięsz!.. wracaj!..

Ale majtek nie słuchał wołania; leżąc na brzuchu, sięgał po bosak, a dostawszy go, podnosi się. Z okrzykiem radości skoczył na brzeg i zaczął ciągnąć linę przymocowaną do szpagatu. Majtkowie tymczasem pod kierunkiem ka-





pitana, obciosywali węgły kry na której stali, rozbijali sąsiednie lody by utorować jej drogę. Wkrótce lina została przymocowana do brzegu; majtkowie zaczęli ją ciągnąć odpychając, jednocześnie wiosłami i bosakami swoją improwizowaną tratwę. Z początku szło im trudno, ale potem prąd porwał ich i zaczął nieść prędzej niż trzeba. Lina wyprężyła się strasznie i o mało nie zrzuciła do wody trzymających ją ludzi.

— Puszczajcie po trochu!..—wołał kapitan.

Robili, co kazał; aż w ręku został im sam koniec, a do brzegu było jeszcze drugie tyle. Płynęli przeciw prądowi, który niósł lody z łoskotem walące w ich krę, wskakujące na brzeg i grożące im zatopieniem... Nagle lina pękła i ze świsem wyleciała w powietrze! Kłosa oswobodzona zakłósała się i wartko pomknęła z wodą. Nie było już nadziei ratunku! Wyspa uciekała przed nimi niby senne widziadło. Przymknęli oczy by tego nie widzieć!

Tymczasem nie było tak źle. Choć sznur pękł, tratwa zataczała półkole i zbliżała się ku ziemi. Smith pędził brzegiem jak szalony, wymachując rękami; za nim, szczekając, biegły psy okrętowe, które, nie wiedząc skąd się znalazły na wyspie.

Rzucili mu sznur. Kra stuknęła o dno tak silnie, że o mało nie powpadali do wody.

— Hurra!.. ziemia!.. Zwycięstwo!..

Majtkowie powskakiwali do wody. Łodzie w jednej chwili spuszczone, zniesiono z kry prawie na rękach.

Porwana prądem, pomknęła tratwa dalej,
a rozbitkowie szczęśliwi, weseli, brnęli przez wodę pełną lodowych okruchów.

Jakże im było przyjemnie czuć pod nogami
ił grząski i czarny.





Wysepka na którą się dostali, była bardzo mała, jałowa i prawie pusta. Zaludniały ją wyłącznie stada morskich nurków, trochę rybitw, mnóstwo myszy podbiegunowych i nieliczne fokki—goście czasowi. Marynarze prędko ułatwili się z ptactwem i fokami, a wśród myszy psy porobiły ogromne spustoszenia i tak wypasły się na tem dobrem pożywieniu, że kapitan kazał je wystrzelać, aby powiększyć szczupłe już zapasy żywności.

Marynarzy czekała jeszcze długa droga, ale wypoczęli, rany swoje wygoili i patrzyli w przy-

szość z większą otuchą. Woda słodka, wysmienita i zupa ze świeżego mięsa, zaprawna kwasowatemi trawami, które doktor odnalazł w górach, wróciły szybko zdrowie nawet tym, co byli chorzy na skorbut.

— Niema co mówić, przyjemnie czuć grunt pod sobą!.. Nie mniej są przyjemne dym i ciepło, idące od stosu palącego się drzewa... I gdzie znajdzie się osioł, który temu zaprzeczy?.. — pytał Dick, leżąc na wznak przed ogniem. — Przy sięgam, nie będę już taki głupi! Przeklęte morze pożegnam na wieki... Kupię sobie fermę w okolicach Frisko; będę spokojnie orał ziemię i chyba tylko w niedzielę popłynę na morze łowić ryby... Bo muszę przecie wyuczyć syna stawiać żagle... Mieszczuchy o wietrze dowiadują się tylko, susząc bieliznę; a ja nie mogę pozwolić, żeby mój syn był do niczego... Sam nie pojedę już więcej na żadne wyprawy... Żegnaj kochane morze!..

— Głupi będzie, kto ci uwierzy! — rzekł Tom. — To samo mówiłeś po pożarze „Florydy“ wśród Atlantyku, gdy nam przyszło ratować się na łodziach.

Tom tylko co wrócił z polowania i zamiast wieczery, na którą się spóźnił, gotował sobie herbatę w małym miedzianym imbryku.

— Co ty wiesz!.. Tam cierpieliśmy tylko głód i pragnienie, ale nie potrzebowaliśmy skakać jak wrony po lodach... Ładna rzecz zamiast wiosł nogami przebierać!.. Od czasu ja-

kęś fajkę stracił, rozum cię opuścił, drogi przyjacielu... Patrz lepiej, co ci pokażę.

Dick złożył pięść, duży palec odstawił i w usta wetknął, udając, że pali i dym puszcza. Tom z dąsem odwrócił głowę.

— Dajże mu się zaciągnąć choć trochę... — żartowali obecni.

— Czyż nie widzicie, że on pije, nie pali..

— Pije bardzo dużo i pewnie z rozpaczy... Niedługo potok zniknie, jak znikły kaczki i rybitwy...

— Przekłęty grubas!.. Gołąbko, „onusiu“ moja, nie gniewaj się!.. Jak tylko przyjedziemy do Frisko, zaraz kupimy fajkę, a dopiero za resztę pieniędzy kolonię... Widzisz, jaki jestem dobry, bo przecież bez kolonii nie będę miał syna... Frisko! ty... Frisko!.. cudowne miasto!..

— O, tak!.. Tam wiele chleba... wiele dolar...—marzył głośno Li.

Majtkowie z innych miast poczęli bronić każdy swojego gniazda. Ale Dick wszystkich przegadał i dowiódł, że cuda dzieją się tylko we Frisko. Słuchali go, od czasu do czasu wybuchając śmiechem, który wiatr niósł daleko i mieszał z szumem fal i lodów bijących o brzegi. Na te lody kapitan z trwogą codziennie spoglądał ze wzgóрка, panującego nad wyspą. W dali niebo jak chmura ciemne, kazało się domyślać otwartego morza; ale by dostać się tam, trzeba było przebyć znowu szeroki pas ruchomych lodów. Kapitan wciąż odkładał dzień wyprawy, nie mając odwagi wystawić na nowe katusze,

powierzonych sobie ludzi. Wyczekiwał, czy nie otworzy się gdzie przejście dla łodzi. Ale długo czekać nie było można, zapasów żywności mieli mało, zwierzyny na wyspie coraz mniej było. Ruszyli więc przez pola lodowe z uczuciem ludzi wstępujących w ognisko gorejące. Ale tym razem męczarnie ich złagodzone były widokiem czystej a coraz bliższej, wodnej, otwartej przestrzeni. Za tą wodą czekał ich ład i zbawienie! Tu jednak spotkała ich przykra niespodzianka. Drobne bryły i odłamki lodowe tworzyły tak gęstą kaszę, że niepodobna było spuścić łodzi. Wiosła ślizgały się po lodach, a szalupy pochylały się i chygotały na wysokich kilach, nie ruszając się z miejsca. Długo błądzili po krach, nim wydostali się na ocean.

Dzień był jasny, błyszczący. W powietrzu unosiły się słoneczne odbicia wody i lodów. Morze podnosiło się i opadało w długich, potoczystych falach. Na niebie w kierunku południowym, płynęły lekkie, srebrzyste obłoczki; a oni pełni radości, rozpiąwszy żagle, mknęli za niemi po sinem morzu. Łodzie pochyliwszy się lekko, pędziły jak rybitwy; końcami wydętych płócien zdawały się muskać wodę. Marynarze czuli się w swoim żywiole, i choć ziemia była jeszcze daleko, nucili wesołe piosenki.

Kapitan kazał szalupom trzymać się razem, a ponieważ mniejsza, na której dowodził Nordwist, nie mogła podążyć za drugimi, więc dwie większe często zwalniały biegu. W nocy płynęli dziwnie prędko, choć wiatr zmienił nieco kierunek. Nad ranem niebo pokryło się chmu-

rami. Wiatr zerwał się po krótkiej ciszy i dał z wzrastającą siłą. Morze zapieniło się i fosforycznie zabłysło. Trzeba było żagle zwinąć i płynąć na wiosłach. Dzień podniósł się szary, ołowiany. Chmury opuszczały się coraz niżej, aż zlały się z mgłą stojącą nad oceanem z pod której czarne, nastroszone wytryskiwały pieniające się bałwany i biegły ku łodziom. Mimo to posuwali się naprzód. Rozpuścili znów żagle, które mokre i ciężkie, nieprzyjemnie klaskały w podmuchach wiatru wyjącego dziko, przy wtórze morza. Deszcz drobny i przejmujący siał wodną kurzawę, przenikając odzież, ale nie mroząc dobrego usposobienia ludzi. Wszystko to w porównaniu z tem co już przeszli, wydawało im się drobnostką.

— On nie pali a pije—cieniutkim głosikiem szeptał Dick, wycierając twarz mokrą i zsiniałą.

Kapitan nie rozumiejąc żartu, chmurzył się, a Tom obojętnie patrzył w dal.

Aby nie zgubić się we mgle, na szalupach gwizdano często i ostro; lecz wkrótce głos oficerskich syren okazał się za słabym, w walce z wiatrem i rykiem wód. Widzieli się raz tylko jeszcze; skrzydlate sylwetki ich żagli migały wśród tumanu który wiatr unosił, aż znikły bez śladu w gęstniejącym mroku zapadającej nocy.

Była to noc okropna. Łodziemi rzucało jak łupiną orzecha. Musiano znowu żagle zwinąć, nawet maszty złożyć. Fale uciekały z pod wiosel; a szalupy nieposłuszne i drżące biegły na

oślepię, gdzie je niosły bałwany. To spadały w odmęty, które, zdawało się, gotowe były zamknąć się nad niemi; to wylatywały w górę z warem piany, chlustającej przez burty i grożącej zalaniem łodzi, lub wywróceniem jej dnem do góry. Połowa majtków zajęta była wylewaniem wody, a rady jej dać nie mogli; reszta pracowała wiosłami aby utrzymać równowagę i łódź przeciw falom kierować.

— Mój Boże, co się też dzieje z łodzią mi-ster Nordwist'a, szeptali z trwogą marynarze.

Żeby osłabić uderzenia bałwanów i zapobiedz przewróceniu łodzi, kapitan kazał na przędece zrobić z desek ciężki trójkąt, obciągnąć go kawałkiem płótna i rzucić na długim sznurze za łodzią. Trójkąt płynął, stojąc wierzchołkiem do góry i działał jak ruchoma kotwica. Może to ich uratowało; a może — determinacya z jaką wyrzucili do wody, gdy łódź zalana miała już pójść na dno, częśé rzeczy i zapasów żywności; dośé, że nad rankiem, kiedy wiatr złagodniał, a morze uciszać się zaczęło, znowu rozpięli żagle i polecili wesoło w dal nasiąkającą zwolna błękitną jasnością. Około południa, na widnokregu zarysowała się ciemna, długa linia.

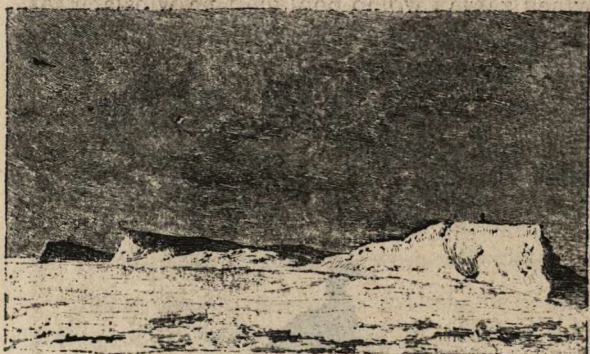
— Łąd!

Wieczorem gołem okiem już było widać wzgórze i wąską zatokę, czyli ocean, głęboko wrzynający się w płaskie wybrzeże.

Stado czajek z krzykiem przeleciało nad łódkami; para młodych fok wynurzyła się tak blisko, że jedną zabito uderzeniem wiosła. Do

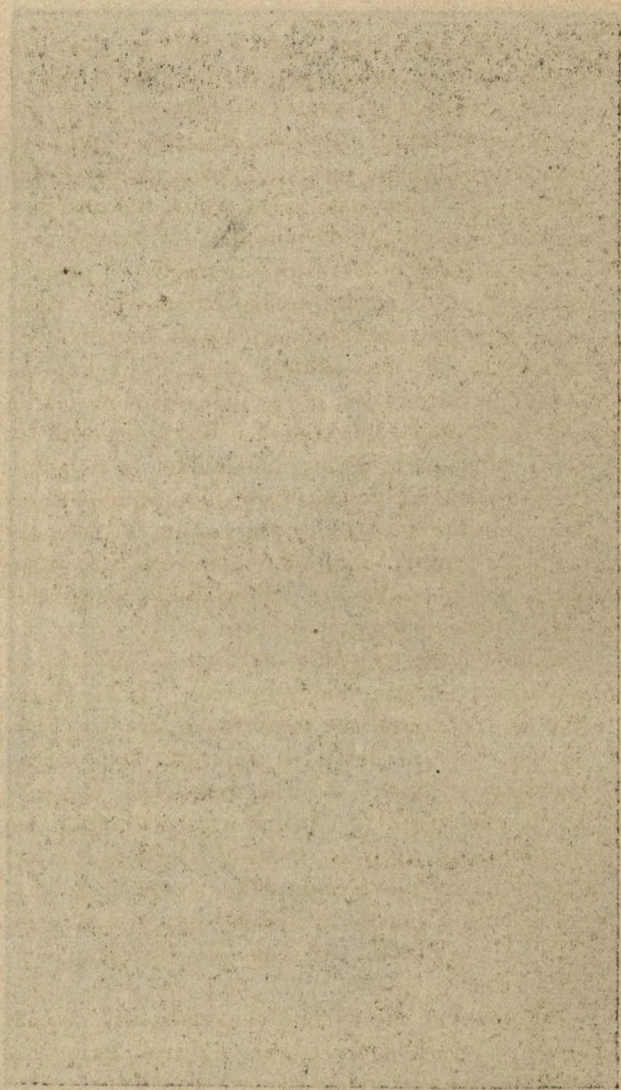
brzegu było jeszcze wszystkiego parę mil angielskich; więc z obawy by nie utknąć na mieliźnie, zwinęli żagle i wolno popłynęli na wiosłach. Ale daremna była ich ostrożność!.. O pół mili od brzegu ugrzęźli na ławicy i po wielu bezskutecznych próbach, postanowili czekać świtu.





Cztery miesiące upływało od rozbicia okrętu. Miało się pod koniec września. Nocami bywały już silne przymrozki. Marynarze na łodzi bez ognia i ciepłego pokarmu, cierpieli bardzo od zimna, gdyż odzież ich mokra była i znoszona. Cisnęli się do siebie i próbowali zasnąć, ale sen nie przynosił im spoczynku. Chmurni podnosili się z posłania i z nienawiścią spoglądali na szarzejącą w oddali, a tak upragnioną ziemię. Drobną falą napływająca od morza, pluskała dookoła łodzi i coraz drobniejsza, cichsza, biegła dalej na mielizny i ławice. Rudy niski brzeg kończył się u limanu niewysokiem, gliniastem urwiskiem. Próbowali dostać się do tego limanu, ale nie mogli wydobyc łodzi z łu. Wszędzie dookoła widać





było takie mnóstwo ławic, mielizn, kamieni obnażonych lub pokrytych bardzo płytką wodą, że nie można było marzyć nawet o wydobyciu się z tej pułapki. Pędzeni wiatrem, wpadli tu dnia poprzedniego; teraz nie pozostawało im nic innego, jak przebrnąć przez wodę, rzeczy przenieść na rękach, a łódź porzucić. Z rzeczy ocalały tylko książki okrętowe, narzędzia i pościel; żywności pozostało im już bardzo niewiele. Łódź nawet zupełnie opróżniona, nie dała się poruszyć. Porzucono ją bez wielkiego żalu, gdyż kapitan odkrył, że zatoka jest właściwie ujściem jednej z wielkich rzek syberyjskich. Przypuszczał, iż osady rybackie mogą być niedaleko, lecz jednocześnie wiedział, że znajdują się one zazwyczaj na lewym brzegu rzeki, tymczasem los ich wyrzucił na prawy. Niepodobniestwem było przepłynąć rzekę na tratwie, z powodu jej szerokości i kry, która isć zaczynała.

Marynarze założyli obozowisko na brzegu zatoki, w miejscu gdzie było suszej i gdzie leżały pnie przyniesionego przez wodę drzewa. Majtkowie rozpalili ogień, a kapitan, korzystając z resztek dziennego światła, wszedł na wzgórze by obejrzeć okolicę. Tak dawno pożądane ciepło płonącego ogniska, dodało rozbitkom otuchy! byłoby nawet może rozbudziło wesołość, gdyby nie maleńkie porcyce wydzielanego pożywienia.

— Ona już nie pali i nie je!..— smutno skarżył się Dick.

Polowanie nie wiele obiecywało. Zbliżająca się zima opustoszyła tundrę. Jurek, najlepszy myśliwy, po dwugodzinnej włóczędze przyniósł

tylko jedną białą kuropatwę. Okazało się, iż popełniono błąd gruby, zabierając tylko karabiny z okrętu. Już na wyspie napsuli dużo prochu, choć tam zwierzyna była mało lękliwa i dopuszczała blisko do siebie; ostrożniejsze ptactwo lądowe trudno było zabijać kulami. Nazajutrz, gdy ruszyli w górę rzeki, doktor napróżno szukał wśród zwiędłej ubogiej roślinności, jakich jadalnych traw lub korzeni; znalazł tylko krzaczkę dzikiej herbaty, której liście dawały dość przyjemny i pokrzepiający napój. Liści tych zresztą było bardzo mało, a napój z nich gorzko-trawiący jeszcze większy rozbudzał apetyt.

Zimno podniecało także chęć do jedzenia.

O południu oddział zatrzymał się u stosu drzewa, by ogrzać się, ugotować „nieszczęśnej herbaty“; a kapitan kazał rozdać po kawałku suchara, oznajmiając, że więcej nad jedną rację nie pozostało w zapasie. Wiadomość ta przynębiła ostatecznie i tak bardzo już na duchu upadłych rozbitków. Wielu położyło się natychmiast, by leżąc mniej cierpieć, a drzemiąc, mniej myśleć; inni obsiedli ognisko i w milczeniu latali podartą odzież, z łachmanów przyrządzali sobie obuwie. Większość była boso, cierpiąc dotkliwie od zimna i ostrych kamieni. Kapitan stał nad wodą i wpatrywał się w brzeg przeciwległy.

Szerokim pasem zatoki leniwo płynęły kry; setki płaskich wysepek zaległo ujście rzeki, a poza niemi jak mglista smuga, wznosił się brzeg przeciwny, wysoki i bardzo odległy.— Tam musieli być ludzie! Kapitanowi wydawało

się, że widzi przez lunetę dymek, unoszący się przed jednym z wąwozów. Ten dymek siwy był bardzo wyraźny na chłodnem tle nieba, ale dla nich nie miał żadnego znaczenia. Nie mogli marzyć o przedostaniu się na drugą stronę, nawet w łodzi. Twardy lód rzeczny nie żartował; nie dawał się kruszyć tak łatwo jak morski, a był jeszcze za drobny i za cienki, by na powierzchni swojej utrzymać ludzi. Mieli zresztą nadzieję i na tej stronie odszukać jaką sadybę.

W nocy śnieg prószył. Ruda tundra pokryła się białemi plamami. Rozbitki wlekli się bardzo powoli, z trudnością stąpając źle obutymi nogami, na których pootwierały się ledwie znowu zagojone rany. Nadchodził wieczór; a oni uszli tak mało, że widzieli dym ogniska porzuczonego przez nich rano.

Nazajutrz, przed udaniem się w dalszą drogę, dostali zamiast jedzenia po małym łyku spirytusu. Głodni, przeziębli, zacisnęli pasy i ruszyli mężnie za kapitanem, który przeglądał okolicę, nie odejmując lunety od oczu. A tymczasem jak okiem sięgnąć w okół, wszystko było to samo: niebo ołowiane i pstre, śniegiem u bielona tundra.

Pod wieczór, Jurek który chodził najwięcej, gdyż szukał zwierzyny, tak osłabł, że dalej iść nie mógł. Musiano go podtrzymywać i prowadzić. Nazajutrz kapitan długo nie dawał hasła do drogi. Wdrapał się na wzgórze i uważnie badał okolicę. Nakoniec zawołał Toma.

— Tomie, tyś silniejszy od innych... Chcę wysłać cię naprzód. O dwadzieścia mil stąd po-

winna być rybacka osada na tym brzegu. Spiesz się, być może ludzi tam jeszcze znajdziesz... ale spiesz się... rozumiesz!..

— Dobrze, kapitanie.

— Możesz wziąć z sobą kogo chcesz z towarzyszy... We dwóch będzie wam raźniej... Kogo wybierasz?

— Dicka, kapitanie!

— A więc chodźmy, trzeba im to powiedzieć.

Przedstawił gromadce swój plan i dodał w końcu.

— Musimy dać im połowę naszego spirytusu!..

Ci, co leżeli podnieśli głowy i wlepili w naczelnika gorejące oczy.

— Mamy go tak mało—bąknął któryś.

— Będą potrzebowali pokrzepienia... Im szybciej przebędą tę odległość, tem prędzej przyjdzie pomoc... My będziemy szli, oszczędzając siły.

Nikt nie zaprzeczył, lecz i nie potwierdził. Kapitan drżącą ręką odlał do małej buteleczki z pół uncji cennego płynu, który łagodził choć na krótko nieznośne ich cierpienia i wracał im siły.

— Ufam ci Tomie!.. Widzisz, to życie nasze!..

— Miej nadzieję, kapitanie!.. Bóg dopomóż!.. O was tylko będę pamiętał, siebie nie szczydził!

Podali sobie ręce i serdecznie spojrzeli w oczy. Łzy błyszczały w ich źrenicach.

— Na kolanach wlec się będziemy, jeśli nam sił zabraknie—gorąco zapewniał Dick.

— Z Bogiem więc... w drogę!

Obaj zrzucili z siebie wszystko co ich obciążać mogło; zabrali tylko jeden karabin. Mieli go nieść po kolei. Drogocenną buteleczkę Tom schował na piersiach. Towarzysze długo stali, odprowadzając ich wzrokiem, dopóki nie znikli im z oczu za łagodną krzywizną tundry.

Wieczorem Tom i Dick widzieli jeszcze ogień obozowiska, jak małe czerwone gwiazdka migający na widnokregu. Za miejsce noclegu wybrali sobie małe zakłębienie w urwistym brzegu rzeki, gdzie wiatr mniej dokuczał. Złe spali na ziemi zamarzłej i twardej, pomimo że, kładąc się do snu, wypili po jednym łyku spirytusu i przytulili się do siebie, Tom nad ranem dopiero zapadł w sen głęboki i letargiczny. Zbudziło go przejmujące zimno. Dicka nie znalazł przy sobie, więc wyszedł natychmiast by się dowiedzieć, co się stało. Został go rozpalającego ognisko: w purpurowym blasku płomienia wydał mu się bladym i wychudłym jak sama śmierć. Dolna szczeka obwisła, trzęsła się okropnie.

— Zimno mi, Tomie!.. zimno!.. strasznie zimno!.. Pewnie umrę!..

Tom nic nie odrzekł. I on cierpiał; wstrząsały nim konwulsyjne dreszcze. Spojrzał w tę stronę, gdzie poprzedniego wieczoru błyszczał ogień obozowiska, a gdzie obecnie nic już widać nie było.

— Wiesz co, Dick? idźmy w drogę; będzie nam łatwiej!..

— Jeszcze ciemno...

— A więc ściągnij się pasem. Doktor mówi, że to pomaga...

— Mój pas niema co ściągać — same już ze mnie kości. Lepiejby spirytusu kropelkę!..

Tom w milczeniu odwrócił głowę; zły był na Dicka.

— Przecież dopiero dzień jeden jesteśmy w drodze!.. Dwa razy na dzień nie można!.. Połóż się przed ogniem i bądź cierpliwy.

Położyli się obaj, przytulając do siebie, ale Tom przed zaśnięciem schował buteleczkę pod mech, na którym leżał.

Nazajutrz wlekli się znowu dzień cały, wypoczywając co kilkaset kroków. Przed sobą widzieli zawsze tę samą białawą pustynię i rzekę coraz bardziej stygnącą. O zachodzie słońca spostrzegli łódź porzuconą na brzegu. Podeszli pełni otuchy; w łodzi siedziała biała kuropatwa. Tom przykląkł i długo celował; Dick nachylony za nim pożerał ptaka oczami.

— Strzelaj! strzelaj!.. Zobaczyła nas.. widzisz jak łebek wyciąga!..

— Nie mogę, broń chwieje się; nie mogę wziąć na cel..

Jaka mała ta kuropatwa!..

— Strzelaj!..

Huknął strzał; ptak wzleciał, szeroko rozpostarłszy skrzydła. Dick wybuchnął przekleństwem.

— Jak mogłeś?.. jak mogłeś?.. To zbrodnia!..

Tom zmieszany spojrział z wyrzutem na towarzysza.

— Nie trafiłem, bo ręce mi drżały!

Noc spędzili w łodzi. I znowu Dick obudził Toma.

— Wstawaj!.. wstawaj!..—wołał prawie nieprzytomny — renifery!.. Zabij choć jednego!.. Słuchaj zabij!.. a będziemy uratowani, my i towarzysze nasi!..

Istotnie, o jakie pięćset kroków w szarym świetle poczynającego się dnia poruszały się cienie zwierząt. Tom wahał się.

— Idź ty, Dick... Ja nie ufam sobie!..

Dick wziął broń i poszedł, ale zaraz wrócił.

— Nie mogę!.. Tyś pewnie mocniejszy... Nie dojdę... Tylko zabij!.. zabij, mój drogi!.. Zostaw ładownicę i buteleczkę; jeszcze ją wylejesz lub rozbijesz... Idź!.. idź!.. czołgaj się jak wąż!

Tom spojrział w podejrzliwe, biegające oczy przyjaciela, pomyślał i... oddał mu buteleczkę. Następnie położył się i zaczął posuwać się ostrożnie, czołgając się na łokciach i kolanach. Ale miejscowość była zanadto otwarta i na domiar złego szedł z wiatrem, więc nie zdołał ująć stu kroków, już rogacz, stojący na straży, zauważył go i zaczął trwożnie uderzać kopytem w ziemię. Natychmiast całe stado przestało jeść i zwróciło się łbami ku niemu. Tom ostrożnie broń podniósł, lecz zanim odwiódł kurek, zwierzęta pierzchły. — Dick tak był zrozpaczony, że już nic nie mówił; buteleczkę oddał natychmiast i odwrócił się by nie patrzeć na Toma.

— Dicku, bracie, — próbował tłumaczyć się pocziwiec—czyż myślisz, że jeść mi się nie chce.

Dick nic nie odrzekł, gdyż czuł, że rozplącze się jak dziecko. Poszli daiej, wytrwale brnąc przez śniegi, ale sił i nadziei coraz mniej mieli. Byli pewni, że dziesięć mil przeszli, a pomimo to nic jeszcze nie znaleźli. Wciąż mieli przed sobą pustynię równą i białą jak obrus. W południe Tom zauważył w dali jakiś ciemny czworobok, który wydał mu się budynkiem. Istotnie była to chata, ale dawno widocznie przez ludzi opuszczona. Zawsze jednak jej widok dodał im otuchy. Weszli do izby. Tom zabrał się zaraz do rozniecenia ognia na kominie, a Dick jął szukać pożywienia po kątach. Znalazł tylko kość w śmieciach, którą rozbił i połowę oddał Tomowi. Wysysanie i obgryzanie tej kości nie przyniosło im ulgi.

— Trzeba nam Tomie, widzę, umierać!.. Nikogo nie uratujemy!.. Nie pójdę już dalej ani kroku, to darmo!.. Wiesz co? lepiej wypijmy spirytus i strzelmy sobie w łeb!..

— Gadasz niestworzone rzeczy!.. Jeszcze możemy wlec się!..

— Ty możesz, ale nie ja... więc oddaj mi moją połowę i zostaw mię tu... albo lepiej... zastrzel!

— Nie, ja tego nie zrobię! Dicku! Dicku! Ty taki mężny, dlaczego odbierasz mi odwagę?.. Co się z tobą stało?.. Wszak jutro możemy znaleźć ludzi!.. Ten dom to może pierwsza chałupa osady!..

— Hm!.. Cała noc... to bardzo długo!..

Zabrał się znowu do grzebania w śmieciach, mrużąc coś pod nosem. Tom wyciągnął się na niskiem łożu zasłanem garścią zleżącego siana. Był strasznie znużony i chciał zasnąć. Ale sen miał niespokojny, pełen mar i widziadeł—szkieletów, w których poznawał towarzyszy. Wyciągali do niego ręce, z krzykiem i przekleństwami usiłowali wydrzeć mu buteleczkę. On jej bronił, do piersi przyciskał... W chwilę potem był na wspaniałej uczcie... Zapach potraw... ciepło, jasno... Frisko!.. mieli fermę—wszystko mieli!.. — Otworzył oczy. Naprawdę, ktoś mówił o Frisko. Ach, to Dick!.. Siedział przed ogniem i coś mamrotał. Pewnie nie spał. Bieda! trzeba go będzie zostawić w tej izbie i oddać mu część spirytusu... Dalej nie pójdzie... Jaki ożywiony!.. Czyżby zwaryował?.. a może!..

Tom sięgnął ręką na piersi i buteleczki nie znalazł. Nie wierzył sobie, więc zaczął szukać na posłaniu.

— Dick, rzekł wreszcie ochryplym głosem. —Gdzie butelka? Wziąłeś ją?..

Dick nie ruszył się z miejsca.

— Wszyscy pomrzemy — mruczał niewyraźnie.

— Wziąłeś więc!.. Zginęliśmy!.. Boże mój, co za podłość!..

— Masz słuszność, Tomie, podły jestem!.. Wypiłem wszystko co do kropli... gotów byłem wylizać!.. Zabij mię... nic ci więcej nie pozostało... mnie wszystko jedno!..

— Towarzysze!.. nasi towarzysze!.. Tys krew ich wypił!—krzyczał Tom.

— Zabij mię!... oto broń! — powtarzał Dick. — Nie mam sił nabić, ale... wszystko mi jedno!... I ty umrzesz, ja, i oni... wszyscy zostaną na wieki wśród lodów jak... Jack. — Mówiąc to, podawał Tomowi broń i pokornie patrzył mu w oczy. Tom stał posepny i słuchał. Nagle Dick drgnął; przerażenie odmalowało się w jego oczach. Tom schwycił za broń i wyprostował się.

— Nadszedł czas... nadszedł czas... Żegnaj Frisko!..

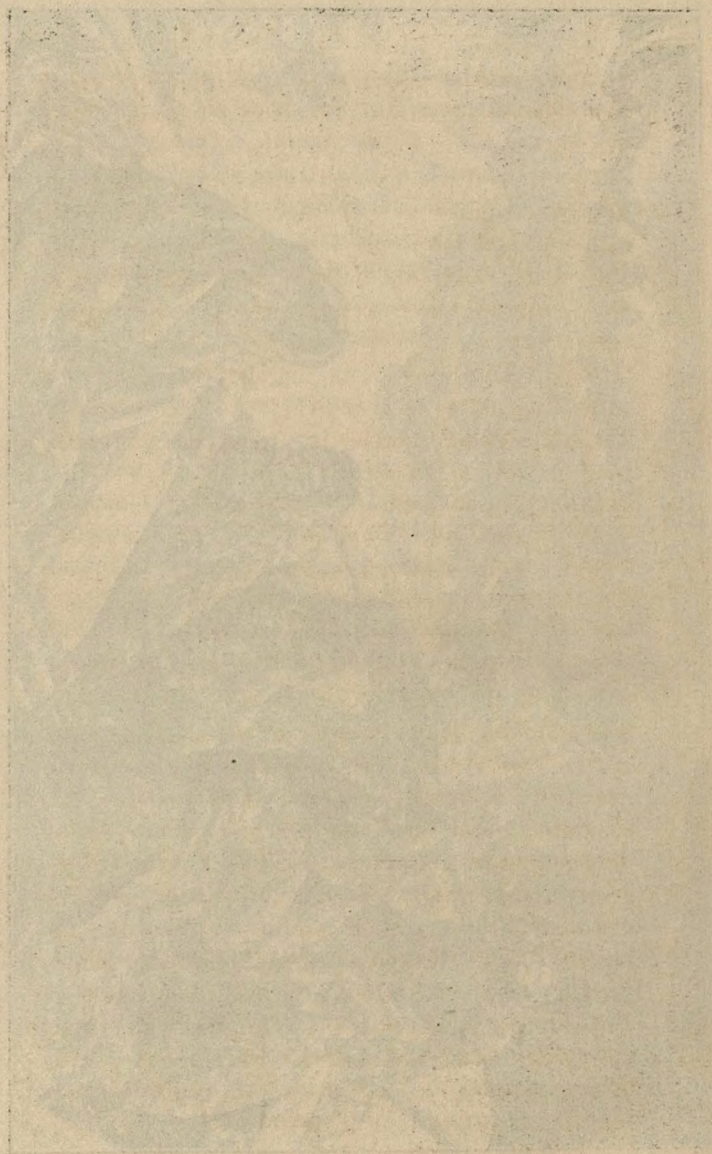
— Cicho! — ryknął kolos, ruchem głowy wskazując drzwi.

Ze dworu dolatywało jakieś chrobotanie. Teraz i Dick je usłyszał i także zerwał się na równe nogi. Chrobotanie nie ustawało. Tom podszedł do drzwi i otworzył je nagle. Przed chatą, u słupa stały sanki zaprężone we dwa renifery i Tunguz z długim prętem. Ujrzawszy ich, zbladł i cofnął się, ruchem bezwiednym chwytając za pas, gdzie nosił nóż. Tom dostrzegł ten ruch i podniósł broń.

— Stój!.. Ani kroku!..

Dziki zrozumiał i padł na kolana, składając błagalnie ręce. Wówczas Dick podszedł do niego i zaczął gładzić go po twarzy i głowie, za ręce ścisnąć. Zbliżył się i Tom. Obaj zaczęli tłumaczyć mu na migi że są głodni, chwytając za usta, za żołądek, udawać, że jedzą i kiwać rozpaczliwie głowami, ukazując na północ. Tunguz ich zrozumiał; szybko podniósł się z ziemi, wziął z sani nieduży woreczek i zaniósł do chaty. W woreczku znalazł się krążek jakuckiego masła i kilka suszonych ryb. Tunguz łupał masło





po kawałeczku i podawał je zgłodniałym. Obaj jedli chętnie, pomimo, że czuli, iż lekki obłąd opanowywa ich z wolna. Tunguz widocznie także nie pochwalał ich łakomstwa; na migi radził im przerwać i pójść na spoczynek: oczy przymykał i głowę kładł na dłoni. Oni mieli ochotę usłuchać jego rady, ale bali się, że Tunguz im umknie podczas snu. Przytem sprawa umierających towarzyszy musiała być przedewszystkiem załatwioną. Tom zaczął na migi wyluszczać rzecz całą Tunguzowi, prosić by jechał ich ratować. Tunguz słuchał cierpliwie i przytakiwał; parę razy nawet od siebie coś dodał, z czego się pokazało, że doskonale o wszystkim wiedział: o ich podróży wśród lodów, rozbiciu i wylądowaniu. Tom niesłychanie zdziwiony, nie wiedział, jak to rozumieć. Czyżby krajowcy odnaleźli już kapitana z resztą towarzyszy?.. Nie mógł się z dzikim dogadać. Tunguz, niecierpliwił się i nie chciał jechać w kierunku wskazywanym przez Tomą, a uparcie zawracał na przeciwny brzeg rzeki... Czyżby tam byli?.. Marynarz czuł, że mu się w głowie kręci, że nic nie rozumie... Dał się posadzić na saniach, obok nieprzytomnie mającego Dicka, i uwieźć Tunguzowi; ale walczył z ogarniającą go niemocą i całą siłą woli starał się skupić rozproszone, pobladłe myśli. Nakoniec wydało mu się, że odgadł... To musiał być mister Will, a nie tamc. Porwał się z krzykiem i Tunguza za ramię uchwycił; zawracać kazał. Przerażony dzik¹ jeszcze prędzej zaczął poganiać renifery i prętem ukazywał w dal. Tam wśród tundry czer-

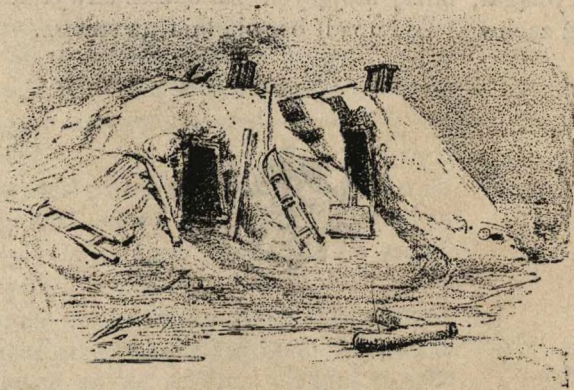
niał szereg poruszających się kropek. Tom ujrzał wkrótce liczny orszak krajowców jadących wierzchem i na saniach. Zrównawszy się z nimi orszak zatrzymał się, a jeźdźcy powyskakiwali na ziemię. Jego woźnica coś im długo i krzykliwie opowiadał. Wreszcie zamożniej od innych odziany krajowiec podszedł do Toma i po rosyjsku rzekł:

— Zdorowo!

Tom poznał słowo tyle razy słyszane od Jurka; zerwał się i zaczął opowiadać po angielsku, co myślał. Dziki słuchał, kiwał głową i uśmiechał się dobroliwie, ale ruchem stanowczym wskazał przeciwny brzeg rzeki. Tom z rozpaczcy chwycił go za rękaw i ciągnął za sobą. Łzy jak grad płynęły mu z oczu. Dziki trochę wylekły, cofnął się; palcem ukazywał na czoło i mówił coś do swoich. Ci otoczyli go ciasnym kołem. Biedny Tom, zrozumiał, że wszystko przegrane... że się go boją... że mają go za waryata!. Ostatnim wysiłkiem woli pohamował się; ukląkł i spokojnie zaczął rysować na śniegu łodzie i małe figurki, które miały wyobrażać ludzi podzielonych na oddziały. Narysował też rzekę i jeden z oddziałów umieścił na prawym brzegu, a inne na lewym. Tunguzi oparci na prętach uważnie śledzili najmniejszy jego ruch i okrzykami dawali znać, że rozumieją. Od jednego z oddziałów Tom oddzielił dwie figurki... pokazał palcem na siebie i Dicka i spojrział wymownie. Zdawało się że go rozumieli, ale pomimo to nie ruszali się z miejsca. Tymczasem on czuł, że już wyczerpał resztki sił..

Oczy zachodziły mu mgłą... Co teraz będzie? co będzie?!.. Czy rozumieją?.. rozpaczał, w ostatnim wysiłku zamraczającej się myśli... Ręce wyciągał, bliżej stojących za odzież chwycił... aż zachwiał się i upadł bezwładnie na śnieg...





Gdy znowu oczy otworzył i spojrzął przytomnie, ujrzał przede wszystkim okopcone wnętrze chaty sybirskiej. Ktoś znajomy siedział na jego łóżku, a ktoś drugi stał pochylony nad nim.

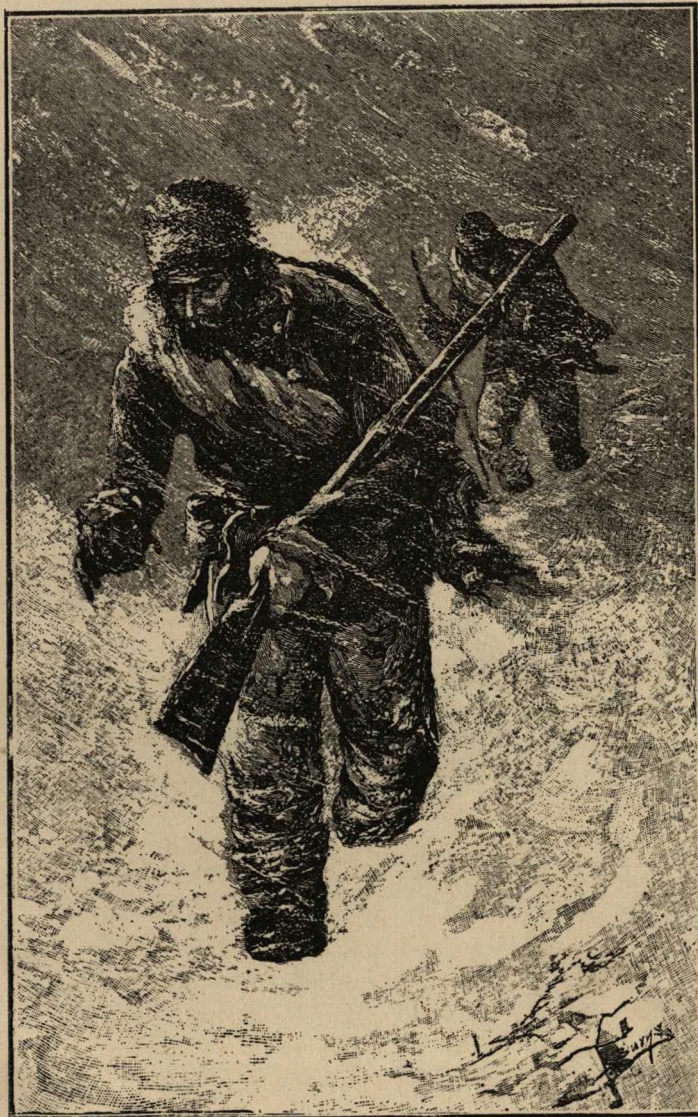
Poznał kapitana i doktora.

— Życ będzie!.. Otworzył oczy!.. poznał nas!.. Cicho!.. cicho!..

Obecni podeszli tłumnie do łóża.

Wszyscy tu byli: mister Will, Jurek i Smith, nawet Li kiwał przyjaźnie swą żółtą, kwadratową głową. Nie było tylko Nordwista i ludzi, co z nim płynęli. Ale Tom tego nie zauważył zrazu.

— A Dick?— spytał nieśmiało.



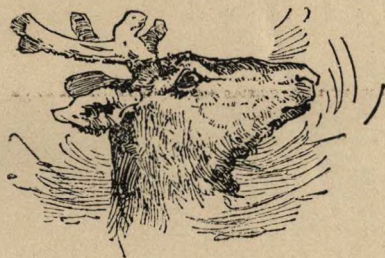
— Żyje! — odpowiedział kapitan. — Nie ruszaj się i nie gadaj — nie wolno ci mówić!

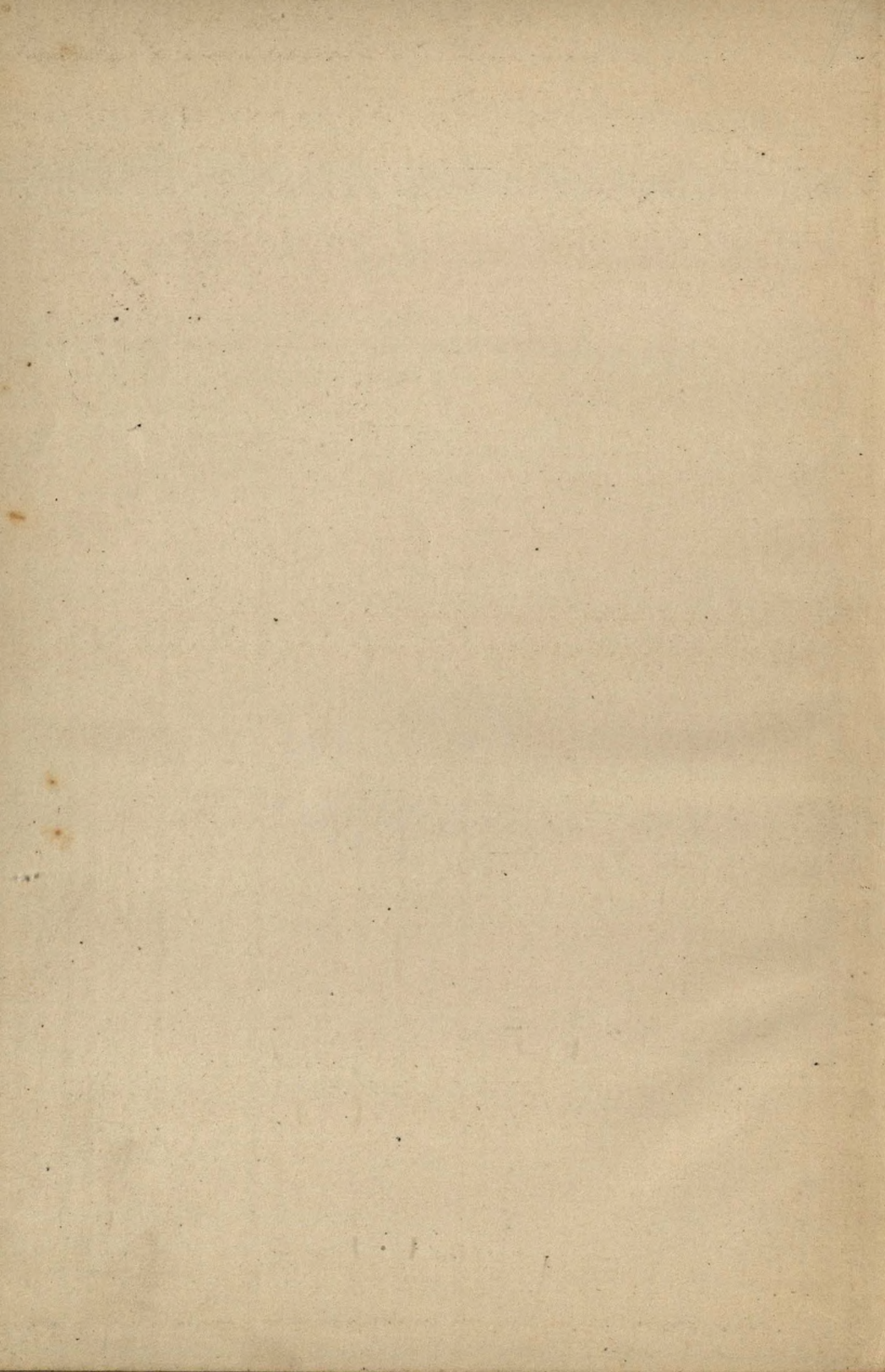
Tom usłuchał; w milczeniu powiódł spojrzeniem po wszystkich i oczy utkwił w kapitana. Chudymi, przezroczystymi palcami zaczął skubać kaftan oficera i szepnął, nie mogąc powstrzymać się dłużej.

— Kapitanie... a pamiętasz... fajeczkę?..

Kapitan zakłopotany gładził wąsy. Tom tymczasem uśmiechając się, przymknął oczy i znowu zapadł w nieświadomość.

Ale to nie była śmierć, ani też walka z nią; lecz głęboki pokrzepiający sen.





107965/66

4. 30-



36880